

Mysł Polska

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT—MONTHLY REVIEW

Nr 112 (Rok VII, Nr 7)

Lipiec, 1947

Cena (Price) 2/-

ZADANIA NOWEGO OKRESU

SMIERĆ Prezydenta Władysława Raczkiewicza zamknęła jeden trudny, dramatyczny niczaj okres w historii Państwa Polskiego, otworzyła drugi o wiele trudniejszy. S.p. Władysław Raczkiewicz był uznawany przez cały świat Prezydentem Niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej, następcą jego musi uznać takie dopiero wywalczyć. Zadanie to przerasta siły jednego człowieka i będzie dziełem całego narodu z Prezydentem—Wygnańcem na czele.

S.p. Prezydent Raczkiewicz nie należał do rządu ludzi władczych, narzucających swoją wolę, wywierających rozstrzygający wpływ na bieg wypadków,—a przyszło mu rządzić na podstawie konstytucji, która Prezydentowi wyznaczała rolę główną. Nie mogąc poza krajem, na obczyźnie zmienić ustawy konstytucyjnej, własną wolą ograniczył swoje prerogatywy osobiste i wykonywał je w porozumieniu z premierem rządu, składającego się z przedstawicieli czterech głównych stronnictw politycznych, mających swoje odpowiedniki w Kraju i na wygnaniu.

Słabego zdrowia (ciężka choroba trawiła go od dziesięciu lat), z natury miękki i dobry, musiał działać czasu największej burzy dziejowej i wytrzymywać ciosy, które by podjęty największego mocarza. Prezydenta Raczkiewicza wichura wojenna nieraz aż do samej ziemi zginała—nigdy jednak nie zdołała go złamać. Kiedy w roku 1944 groziło załamanie oficjalnej polityki polskiej w obliczu nowej okupacji, Prezydent Raczkiewicz przyjął dymisję rządu Mikołajczyka i powołał nowy rząd z premierem T. Arciszewskim, rząd, który grabarzom niezależności Państwa Polskiego zdecydowanie się przeciwstawił.

Bez względu na to, jak patrzyliśmy na jego posunięcia polityczne w ciągu blisko ośmiu lat, stwierdzamy, że Prezydent Raczkiewicz dobrego imienia Polski strzegł, Majestat Rzeczypospolitej godnie reprezentował i miał duże poczucie odpowiedzialności za całość spraw polskich.

Śmierć Prezydenta Raczkiewicza jest ciężką stratą nie tylko dla tych, którzy go bliżej znali, ale przede wszystkim dla niezależnej polityki polskiej—i komplikuje w wysokiej mierze nasze położenie.

Umierający Prezydent aktem z dnia 26 kwietnia 1947 r. wyznaczył na następcę p. Augusta Zaleskiego i anulował poprzednie swoje zarządzenie z dnia 7 sierpnia 1944, które przeznaczało na następcę p. Tomasza Arciszewskiego. Przekazanie wymienionego

aktu powierzył p. Prezydent dwu swoim mandatariuszom: gen. W. Andersowi i prezesowi T. Tomaszewskiemu. Dnia 3 czerwca 1947 r., jeszcze za życia Prezydenta Raczkiewicza, mandatariusze jego odczytali p. premierowi Arciszewskiemu zarówno zarządzenie o wyznaczeniu na następcę p. Augusta Zaleskiego, jak i list Prezydenta Raczkiewicza do premiera Arciszewskiego w tej sprawie.

Zwołana na wyraźne życzenie p. Prezydenta Raczkiewicza konferencja przedstawicieli trzech stronnictw, zasiadających w rządzie, stanęła dn. 5 czerwca wobec dwu dokumentów: jednego wcześniejszego z dn. 7 sierpnia 1944 i drugiego późniejszego z dn. 26 kwietnia 1947. Tymczasem dnia 6 czerwca 1947 umarł Prezydent Raczkiewicz. Czas naglił. Konferencja stronnictw nie mogła dopuścić do przerwania legalnej ciągłości Państwa Polskiego.

Stronnictwo Narodowe stanęło na stanowisku, że w grę wchodzi nie tyle osoby kandydatów, ile sama instytucja legalnego Prezydenta Rzpltej. Wobec oświadczenia p. A. Zaleskiego, które nie zamykało drogi w sprawie personalnej obsady urzędu Prezydenta i zadość czyniło wymogom legalizmu, Stronnictwo Narodowe mając do wyboru—niezależnie od swej woli—dwa dokumenty, prawidłowo wydane przez Prezydenta Raczkiewicza, uznało za ważny akt ostatni z dnia 26 kwietnia 1947 r. Na stanowisku aktu z dnia 26 kwietnia 1947 r. stanęła większość konferencji stronnictw oraz znaczna większość Rady Ministrów.

Dnia 9 czerwca 1947 r. odbyło się zaprzysiężenie nowego Prezydenta, A. Zaleskiego. W ten sposób zostało formalnie załatwione przesilenie na urządzie Głowy Państwa, wywołane śmiercią Prezydenta Raczkiewicza. Nie usunęło to faktycznych trudności, z jakimi niezależna polityka polska ma do czynienia zarówno na gruncie międzynarodowym, jak wewnętrznym.

W polityce światowej zaszły ostatnio doniosłe zmiany, które mogą z czasem zasadniczo wpłynąć i na nasze położenie. Nie tu miejsce na szczegółową analizę przemian, jakie zachodzą w świecie. Wystarczy przypomnieć, że polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych zerwała z tradycyjnym izolacjonizmem i sięga głębiej zarówno w sprawy azjatyckie, jak i europejskie. Punkt ciężkości w polityce światowej przenosi się coraz bardziej ku Ameryce, a dolar staje się magnesem, który przyciąga rządy wszystkich państw bez względu na ich zabarwienie polityczne. W ten sposób droga

nacisku ekonomicznego Stany Zjednoczone usiłują przestawić układ polityczny w świecie. Siła przyciągania dolara jest tak wielka, że wpłynęła—jak się zdaje—na decyzję rządu sowieckiego przyjęcia zaproszenia Bevina i Bidault na konferencję w sprawie pomocy amerykańskiej dla Europy, zakrojonej na gigantyczną skalę.

Jest to jedna z ostatnich prób rozprawy z Sowietami za pomocą środków pokojowych, chęć gospodarczej penetracji Rosji. Trudno dziś powiedzieć, czy ta droga doprowadzi do celu. Jedno nie ulega wątpliwości: w najbliższych tygodniach, a może dniach, zdecyduje się na konferencji paryskiej albo dalsza nieustępliwość Sowietów, wciąganie się coraz głębsze w skorupę i odcięcie od reszty świata, albo wychylenie się z matecznika i próba współpracy gospodarczej z Zachodem. Nie rozładuje to, naszym zdaniem, nieuchronnego konfliktu—militarnego czy politycznego—ale w pierwszym wypadku znakomicie go przybliży, w drugim—na pewien czas odroczy.

Nie potrzebujemy dodawać, jak wielkie obowiązki i w jednym i w drugim wypadku spadają na samodzielną politykę polską. Trzeba będzie wypracować nowe koncepcje i przygotować się do aktywniejszej roli na gruncie międzynarodowym.

W sytuacji, w której przed niezależną polityką polską otwierają się nowe perspektywy, należy zwrócić baczną uwagę na sprawy zagraniczne, a mniej czasu poświęcać wewnętrznym sporom i tarciom. Podważanie w jakikolwiek sposób instytucji legalnego Prezydenta Rzpltej byłoby w najwyższym stopniu karygodne.

To też nie tracimy wiary, że weźmie górę zdrowy rozsądek i przywiązanie do sprawy, a nie do osób. Chyba że za pewnymi pozornie niewinnymi pociągnięciami kryje się coś więcej, aniżeli zawiedziona ambicja grupowa czy nieporozumienia międzypartyjne. Gdyby tak było istotnie, mielibyśmy do czynienia z nową orientacją w pewnych kołach na emigracji, z postawą, która by się godziła z ustrojem politycznym narzuconym Polsce dzisiejszej oraz z wydarciem ziem wschodnich i okrojeniem na zachodzie (w porównaniu z obecną linią graniczną). Byłaby ta orientacja jedynie w opozycji do osób, w kraju dziś rządzących. Z takimi tendencjami zgody być nie może. Zwalczyliśmy je i zwalczać będziemy z całą siłą, na jaką stać jeszcze rozrzucony dziś po świecie i borykający się z losem w Kraju naród polski.

Ś.P. WŁADYSŁAW RACZKIEWICZ

PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ, 1939-1947

Dwie daty: r. 1939, w którym Prezydent Władysław Raczkiewicz objął Swoj urząd, i niedawna data Jego śmierci odmierzają niezakończony do dziś dramat świata, drogę ciężką i trudną dla wielu narodów, dla nas zaś rozpaczliwie ciężką i niewymierną w żądnych statystykach. Na początku i przy końcu wojny byliśmy osamotnieni. W momencie zawieszenia działań wojennych nie mogliśmy liczyć na współczucie choćby, którego nam nie skąpiono podczas ubiegłej wojny jako ekwiwalentu za wkład do obozu sprzymierzonych.

Drogę tę przeszedł każdy Polak, który nie sprzeniewierzył się własnemu narodowi i jego walce. Drogę tę — na czele walczącego narodu — odbywał Prezydent Raczkiewicz.

Nie była to prezydentura pałacowa, reprezentacyjna i defiladowa. Była z tych polskich losów Głowy Państwa jedną z najcięższych, jakie zna nasza historia. Miał jednak Prezydent Raczkiewicz to, czego nie mają w takiej mierze ani królowie, ani dyktatorzy, — miał w sprawowaniu Swego urzędu pomoc i współdziałanie całego narodu. Władysław Raczkiewicz doskonale zrozumiał najważniejszy, naczelny rys polskiej postawy w światowym kataklizmie: rys godności ludzkiej i niezachwianej wiary tego, czyja sprawa jest słuszna i sprawiedliwa.

Wiara ta prowadziła społeczeństwo polskie przez najczarniejsze dni kolejnych okupacji, żołnierza naszego we wszystkich rozstrzygających bitwach tej wojny. Tak jak

na pierwszą osobę w Państwie przystało, Prezydent był tego polskiego stylu życia godnym przykładem.

Potrafił także w najważniejszych chwilach polityki polskiej wpłynąć na jej wyraz, powodowany czystą intencją służenia narodowi. Łączył w Sobie zarówno koniecznie w dziejach naszego narodu idealizm z obowiązującym sternika Państwa i polityka realizmem i umiarem politycznym.

Zarówno naród w Kraju, jak i jego część na emigracji zachowa w serdecznej pamięci Prezydenta Władysława Raczkiewicza — Głowę Państwa, którego podczas lat Jego urzędu nie było na zbrodniczych mapach, a które panowało w duszach i sercach polskich.

JAN MATYSIK

PROBLEM DE GAULLE'A WE FRANCJI

Problem de Gaulle'a we Francji sprowadza się do klasycznej formułki politycznej: gdy kraj znajduje się w położeniu rozpaczliwym i gdy wszystkie środki ratunku przewidziane w konstytucji zawiodą, naród apeluje do rezerwy pozakonstytucyjnej, jaką w danym momencie posiada. Może nią być usunięta od tronu dynastia lub jakiś na uboczu stojący a wyjątkowym autorytetem dysponujący polityk, może nią być także zwycięski w wojnie i popularny generał. Obojętne, czy przechodzi on do władzy na drodze legalnej, czy przez zamach stanu. Konstytucja bowiem zostaje jeśli nieprawie to faktycznie zawieszona, by "zbawca" miał swobodę działania. Proceder ten znali już Rzymianie, najwięksi mistrze w kierowaniu państwem, w formie tak zw. *senatus consultum ultimum* (caveant consules . . .) lub w formie mianowania dyktatora na czas ograniczony lub dla przeprowadzenia pewnej sprawy. W nowszych czasach przykładem ośniewającym i uwodzącym stał się zamach stanu z 18 Brumaire'a 1799 r., przeprowadzony po powrocie z Egiptu przez Bonapartego, naśladowany mniej lub więcej szczegółowie przez różnych kandydatów na "zbawców" narodu aż do naszego nieszczęsnego przewrotu majowego . . .

Dwa zatem momenty należałoby rozważyć przy ocenie niewątpliwie dziś we Francji istniejącego problemu de Gaulle'a: czy stan polityczny kraju wymaga owego nadzwyczajnego zabiegu leczniczego i — czy kandydat na zbawcę posiada wymagane kwalifikacje. Odpowiedzi będą różne i muszą być różne, trudno bowiem sobie wyobrazić, by przy obecnym rozbięciu życia politycznego mogła się wytworzyć w jakim kraju jednolita opinia o konieczności powołania generała do władzy pół- lub całkowicie dyktatorskiej. Bo generał ten już choćby przez swe pochodzenie klasowe i przez swą dotychczasową działalność repre-

zentuje pewien wyraźny program, a programy ludzi dzielą nie łączą. We Francji działa ponad to przeciw rządowi jednostki tradycja, silnie zakorzeniona za czasów Trzeciej Republiki: tradycja niechęci i podejrzliwości do władzy osobistej. Zamach z 18 Brumaire'a znajduje jeśli nie w szerokiej opinii, to wśród historyków (Vandal, Sorel, Madelin), ocenę raczej życzliwą, ale znacznie bliższą czasom zamach drugiego Napoleona z 2 grudnia 1851 r. z następstwami, jakie wywołał aż do Sedanu włącznie, uchodzi dotąd zarówno w sądach historyków, jak i w przekonaniu przeciętnego Francuza za wysoce szkodliwy. Nienawiść do Drugiego Cesarstwa była też przez lat przeszło 50 głównym cementem Trzeciej Republiki, generałowi usuwano odtań troskliwie od wpływu na sprawy państwowe, przypuszczając, że nocami marzą o zamachu stanu, gdy oni jeśli o czym śnili to o jeszcze jednej gwiazdce na rękawie. Ta niechęć do rządów osobistych była kamieniem, o który potykali się nieraz i cywilni "zbawcy" jak Clemenceau i Poincaré.

I trzeba było dopiero zupełnego bankructwa republiki, katastrofy wojennej i hańby kapitulacji, by Francuzi uznali w nieznanym dotąd generale swego sztabowego wodza, i to nawet mimo jego arystokratycznego tytułu. Ale też szybko, po oswojeniu kraju, pozbyli się jego krępującej obecności w rządzie. Przeszli do porządku nad jego przestrogami przy tworzeniu konstytucji i sądząc, że 55-letni generał zadowoli się honorami i reweransami, usiłowali zrobić z niego bohatera na emeryturze. Rozpoczęto nawet w prasie lewicowej kampanię, pomniejszającą znaczenie całej londyńskiej akcji generała, sławiącą za to ponad miarę czyny i ofiary krajowej *Résistance*. Czwarta Republika postanowiła iść śladami trzeciej: i w niej dla znakomitego generała nie miało być miejsca. De Gaulle pozostał —

z rangą generała brygady — poza kadrami armii, bez żadnego wpływu nawet na sprawy wojskowe.

Problem de Gaulle'a, którego ząbkująca Czwarta Republika nie chciała uznawać, stworzyła obecnie nie tyle wola czy ambicja generała, ile fatalna sytuacja państwa. Francja przeżywa dziś kryzys, którego nie można wytłumaczyć — jak gdzie indziej — zniszczeniami wojennymi. Fabryki i kopalnie francuskie są przecież w ruchu. Ruch na kolejach normalny. A jednak są tygodnie, w których Francuz nie dostaje mięsa, a chleba z dużą domieszką kukurydzy tylko 250 gr. dziennie, wina z trudem trzy litry na miesiąc, oliwy, cukru, masła ilości nieznaczące. I to w kraju urodzajnym, słynnym z pszenicy, z winnic, z bydła owerniackiego, z pastwisk normandzkich. Tkaniny, skóry, papierosy — ciągle jeszcze na kartki. Upaństwowione przedsiębiorstwa pochłaniają dziesiątki miliardów franków dopłat. Obywatela gnębi przesadny dyryzizm, biurokracja, podatki, czarny rynek, deficyt bilansu płatniczego, ciągła walka o utrzymanie franka. We Francji nic się prawie nie buduje, podobno z braku materiałów. Kraj wywoził zawsze wiele książek, ale teraz brak papieru. Skarb państwa żyje z emisji Banku i walczy codziennie z widmem inflacji. Ratują Francję na razie pożyczki amerykańskie. By wyjść z kryzysu trzeba pracy i dyscypliny. Ale gdy jeden strajk się kończy, zaczyna się drugi. Strajk kolejowców załagodzono udzielając im podwyżek na 10 miliardów. Były już strajki gazowni i elektrowni, kolei podziemnej, urzędników i policji . . . Nie chodzi tu o zwalczanie przesadnych zysków kapitalistów, bo strajki szerszą się prawie wyłącznie w przedsiębiorstwach upaństwowionych i to deficytowych. Rzecz znamienita: strajkowała upaństwowiona fabryka samo-

chodów Renault, pracowały zaś fabryki prywatne. Mówi się, że strajki wywołują komuniści, którzy wymanewrowani z rządu usiłują obalić rządzącą obecnie koalicję socjalistyczno-radykalno-katolicką przez szerzenie zaburzeń gospodarczych. Sytuacja przedstawia się znacznie gorzej. Strajki wybuchają przeważnie bez uchwały i nawet bez wiedzy syndykatów, a komunistyczna *Confédération Générale du Travail* traci członków na rzecz nowej anarcho-syndykalistycznej *Confédération Nationale du Travail*.

Kryzys ma raczej charakter moralny. Nad Francją jak zhora cięża niedawna klęska. Przypominają ją ciągle procesy kolaborantystów, które kończą się nieraz wyrokami, mającymi charakter okrutnych partyjnych porachunków. Pamięć hańby z roku 1940, poczucie utraty mocarstwowego stanowiska, obawa przed bliską przyszłością i wreszcie potężna partia komunistyczna w kraju, oddana na usługi obcego mocarstwa, — to wszystko pozbawia Francuza moralnej równowagi i wiary w przyszłość kraju. Patriotyzm, dyscyplina, solidna praca, oszczędność — tracą swą dawną wartość. Francuz zawsze pokpiwał sobie ze swych ministrów, ale we wszystkich trudnościach liczył tylko na rząd. A oto rząd ten stoi obecnie beznadny wobec trudności coraz liczniejszych i coraz groźniejszych. W Niemczech Anglo-Amerykanie prowadzą politykę nie bardzo liczącą się z interesami Francji. Sojusznicze Sowiety zwalczają pretensje francuskie w Nadrenii i Saarze. W Indochinach i na Madagaskarze walki z tubylcami bez widoków końca. Maroko, Algier i Tunis objęte niepodległościowym ruchem arabskim. Nawet z Afryki murzyńskiej dochodzą wieści o rosnącym wzburzeniu. Żle na zewnątrz i na wewnątrz. I gdybyż na czele rządu stali ludzie o autorytecie uznanym, dający jakieś nadzieje na przyszłość! Ale — to jest fakt niezmiernie ważny — Francja przeżywa także kryzys swej elity politycznej. Nie ma już ludzi takiej miary jak Poincaré, Millerand, Clemenceau, Tardieu, Jaurès. Obie główne partie rządowe: M.P.R. i socjaliści nie dysponują poza starym, nie zasiadającym już w Izbach Blumem ani jedną pierwszoplanową jednostką. Trudno je znaleźć i w dziennikarstwie politycznym. Należy pamiętać, że połowa tej elity została zmieciona z życia politycznego za współpracę z Niemcami.

Może to jest obraz zbyt czarny? Widziałem przesilenia francuskie przed wojną, z których kraj ten wyszedł zwycięsko. Francja była zresztą zawsze krajem niespodziewanych odrodzeń: Joanna d'Arc, Henryk IV, Napoleon, Clemenceau. I po kapitulacji z roku 1930 przyszła bohaterska, choć mocno dziś przereklamowana, *Résistance*. Należy więc i teraz zawiesić sąd o przyszłości Francji. Naród ten miał zawsze powierzchnię życia nieco brudną i mętłą. Może i dziś płynie pod nią nurt świeży i czysty.

Nasuwa się porównanie z podobnym obrazem rozkładu za Dyrektoriatu, tak świetnie narysowanym przez Madeliną. Francja tonęła wtedy — zdawało się — w korupcji i anarchii, miała przy tym potężnych wrogów u granic. Mnożyły się zamachy stanu, rząd był pogardzany, w kraju grasowali bandyci i dezertery. I oto pewnego dnia sierpniowego 1799 r. przyszła wiadomość, że we Frejus wyładował generał z Egiptu. Nim dojechał do Paryża zamach stanu był już przez niego dokonany w połowie. Chłopi sabaudzcy oświadczyli generałowi drogę, by przyspieszyć jego podróż. W pięć tygodni później Francja miała rząd, najlepszy w swej 1500-letniej historii, po kilku miesiącach było Marengo i Francja objęła hegemonię w Europie.

Przewidywanie, że generał de Gaulle odegra rolę podobnego — *toutes proportions gardées* — katalizatora żywych energii francuskich,

musiałoby się opierać na przypuszczeniu, że demokracja Czwartej Republiki sama własnymi siłami nie wyciągnie już wozu państwowego z błota. Tego jeszcze przypuszczać nie można. Pp. Vincent-Auriol, Ramadier i jego ekipa wóznem mozolnie ciągną. U szczytów państwa jest wiele dobrej woli, patriotyzmu i bezinteresowności. Ramadier to nie cyniczny Barras.

A drugi element problemu, de Gaulle? Jakie jego kwalifikacje i plany? De Gaulle nie dowodził w polu zwycięsko armiami i nie wiadomo, czy może dziś nimi dysponować. Przeciw niemu przemawia poniekąd także fakt, że już rządził. On to nobilitował komunizm francuski, wprowadzając jego przywódców do swego rządu, on zarządził plebiscyt, obalający konserwatywną bądź co bądź konstytucję z roku 1875, on pojechał do Moskwy, by zawrzeć sojusz ze Sowiecami. *Rassemblement du Peuple Français*, które dziś tworzy, nie jest stronnictwem i nie zamierza ubiegać się o mandaty. Czy jednak samą propagandą osiągnie się pomyślne rezultaty w legislatywie, w rządzie, lub w wyborach, w których przy obowiązującej ordynacji wyborczej decydują karne organizacje wielkich stronnictw? A jeśli nie propaganda i nie wybory, czy generał pójdzie na zamach stanu? Tego się stanowczo wypiera. Francuz nawykł jasno myśleć nie może zrozumieć taktyki generała. Nie widzi także w jego otoczeniu (Malraux, Palewski, Soustelle) ludzi, którzy by mu coś mówili i którzy by jakieś jasne idee reprezentowali. Najchętniej widziałby go na czele rządu w ramach obecnej konstytucji, tej właśnie, którą de Gaulle tak gwałtownie zwalcza. Prezydent Vincent-Auriol podobno chętnie powołałby de Gaulle'a na stanowisko premiera, ale generał, który tak ostro krytykuje rządy stronnictw, miałby w Izbach sytuację chyba dużo trudniejszą niż obecny premier Ramadier. I czy zechciałby objąć władzę, by stosować konstytucję, która — jego zdaniem — skazuje każdy rząd na beczelność? Można sobie, co prawda, wyobrazić rządy de Gaulle'a w ramach obecnej konstytucji, ale od parlamentu faktycznie niezawisłe (na przykład na podstawie pełnomocnictw), ale tylko wtedy, gdyby parlament wobec sytuacji beznadziejnej w kraju musiał na pewien czas zrezygnować ze swych uprawnień. Ale i to byłoby tylko rządy przejściowe.

Obok czynnika rozkładu wewnętrznego grać może na korzyść generała sytuacja zewnętrzna. Jeśli świat się istotnie podzieli na dwa wielkie obozy, grawitujące koło Waszyngtonu i Moskwy, to i Francja dzisiaj lawirująca między dwoma biegunami będzie musiała wybrać swe miejsce po jednej lub drugiej stronie. Otóż de Gaulle w swej mowie strasburskiej wskazał już dla niej miejsce w obozie amerykańskim. Zarówno więc w polityce wewnętrznej jak i zagranicznej generał przeciwstawia się zdecydowanie potężnej we Francji partii komunistycznej. Staje na czele tych wszystkich Francuzów, którzy pragną powstrzymać parcie bolszewizmu ku Zachodowi i nie dopuścić do poddania Francji w orbitę wpływów sowieckich. Rozważając sprawę pod kątem przyszłej wojny można powiedzieć, że generał de Gaulle pragnie zorganizować wspólnie z Ameryką opór wojskom sowieckim w razie ich marszu ku Atlantykowi. Im bardziej sytuacja międzynarodowa będzie się zaostrzała, tym aktualniejszą stanie się dla Francji potrzeba wyboru między Wschodem a Zachodem. Tym szybciej też będą wzrastać wtedy szanse generała. Nie godząc się nawet na jego reformę konstytucji wszystkie elementy antykomunistyczne, katolickie i narodowe we Francji będą zmuszone oddać mu władzę, by nie dopuścić do wybuchu rewolucji komunistycznej i opanowania Francji przez Sowiety. Jak w roku 1940 przeciw Niemcom, tak tym razem przeciw

Sowiecom de Gaulle stać się może moralnym i politycznym dyktatorem Francji walczącej.

Taka byłaby więc konkluzja moich wywodów: Czwarta Republika może się i bez generała de Gaulle wydobyć ze swych obecnych trudności gospodarczych i politycznych, które dziś przynębiają i demoralizują Francuzów. Zdecydują o tym najbliższe miesiące. Generał nie wydaje się Francuzom odpowiednim szefem rządu na czasy i stosunki pokojowe. Ale zbliżający się konflikt światowy postawić go musi na czele tej części Francuzów, która będzie chciała ratować cywilizację francuską i europejską przed zalewem komunizmu.

I jeszcze jedna uwaga. Akcja popularnego generała przeciw konstytucji, osłabiającej czynnik rządowy, i przeciw egoizmowi wielkich stronnictw pomniejsza poniekąd jego szanse dojścia do władzy w czasach pokojowych. Działa ona bowiem zastraszając na stronnictwa i zmusza je do kierowania się w wyższym stopniu interesami państwa, niż by to było, gdyby nie stała przed nimi groźba rządów osobistych. Bojaźń de Gaulle'a jest początkiem mądrości dla demokracji francuskiej — można by powiedzieć trawestując cytaty z Księgi Mądrości. Demokracja francuska lawiruje właściwie między dwiema obawami; przed de Gaullem i przed zamachem komunistycznym. Tym to podwójnym strachem należy w pewnym stopniu tłumaczyć obecność, jako tako funkcjonującą koalicję rządową czterech stronnictw (bez komunistów) i jej poważne bądź co bądź choć przez okresowe strajki wciąż paraliżowane wysiłki celem odbudowy gospodarki państwowej. W ten sposób generał de Gaulle pozostając w opozycji pozaparlamentarnej wpływa wydatnie i korzystnie na politykę państwa. Bez tej opozycji i bez tego lęku przed nim byłoby we Francji dużo gorzej. I kto wie, czy na czasy pokoju nie jest to najlepsze wyjście dla Francji, gdyż z jednej strony chroni ją od niebezpieczeństwa wojny domowej, a z drugiej zwalnia generała od zdania egzaminu z rządzenia państwem w czasie głębokiego kryzysu moralnego, politycznego i gospodarczego. Bo przecież nie wystarczy być dobrym generałem, by umieć rządzić państwem. Nas Polaków nie trzeba chyba o tej prawdzie przekonywać...

JAN MATYASIK

“TYDZIEŃ DZIECKA”

1-7 lipca

Wzorem lat przedwojennych w Kraju, gdzie co roku organizowany był “Dzień Matki i Dziecka”, — Towarzystwo Przyjaciół Dzieci i Młodzieży w Londynie (108, Eaton Square, London, S.W.1.) postanowiło podjąć akcję zorganizowania “TYGODNIA DZIECKA” na uchodźstwie w okresie od dnia 1-go do 7-go lipca b.r. W tym samym czasie na terenie W. Brytanii organizowany jest t.zw. *Baby Week*.

“TYDZIEŃ DZIECKA” ma spełnić podwójne zadanie: popularyzując racjonalnego wychowania dziecka, począwszy od niemowlęcia oraz zebranie środków pieniężnych na zaspokojenie najistotniejszych potrzeb dzieci i młodzieży na obczyźnie.

Potrzeby te są wielkie. Imprezy i zbiórki, urządzane w ciągu “TYGODNIA DZIECKA”, nie zaspokoją ich wszystkich. Lecz mogą zaspokoić niektóre, te najpilniejsze, które nie mieszczą się w ramach ogólnej opieki nad uchodźcami. Każdego roku zostanie wybrany konkretny cel, na który będą przeznaczone fundusze, zebrane w “TYGODNIO DZIECKA”.

Tegorocznym celem będzie zebranie funduszu na ZŁOBKI-PRZEDSZKOLA w miastach i BURS Y DLA SAMOTNEJ MŁODZIEŻY.

WIKTOR TROŚCIANKO

ANALIZA ZDRADY

TRZEBA wrócić do lat przedwojennych i stamtąd, po obrzydliwych śladach spisku, mistyfikacji i gry w nowoczesne polskie ruchy umysłowe, tropić — krok za krokiem — postępy, jakie robiła kariera obecnych luminarzy komunistycznej republiki polskiej, zdrajców cywilizacji, kultury, narodu i państwa polskiego. Droga ta, niesłychanie kręta, wiedzie poprzez ciężkie lata wojny, wdzierają się w całe życie polskie nie tylko w Kraju, lecz i na obczyźnie, żeruje na jego tragedii i bohaterstwie, cieszy się z ciosów, które otrzymujemy, by w końcu wyszydzić wszystko i wypisać na czerwonych transparentach hasła swoich azjatyckich ideałów.

Jest na emigracji wielu Wilnian znających zapewne dobrze, może lepiej od piszącego te słowa, przedwojenną organizację, która obejmowała ówczesne młode pokolenie rządzących dziś naszym krajem "ministrów, ambasadatorów, dyrektorów, sztabowych oficerów, zasłużonych naukowców i pisarzy, dyplomatów, attaché prasowych".

Artykuł niniejszy ma na celu rzucenie zaledwie kilku szkiców na sprawę intelektualnej lewicy wileńskiej, która nie była znów ani tak bardzo intelektualna, ani lewicowa, a w sztabach swych była na pewno odpowiednią sekcją Komunistycznej Partii Litwy, Zachodniej Białorusi, czy działającego wtedy na własny rachunek Kominternu.

Rola, jaką grupa ta odegrała w przekształcaniu społeczeństwa polskiego, w przygotowywaniu go na okres bezpośredniego nacisku bolszewizmu, — wybiega daleko poza Wilno. Obejmuje całą Polskę; idąc przez wojnę przybiera różne nazwy — najchętniej z jakąś odmianą słowa "demokracja" —, wciska się wreszcie na emigrację. Środowisko wileńskie nadało taki styl intelektualnej ofensywie bolszewizmu, jaki w organizacji politycznej mogło dać Rosji Sowieckiej tylko komunistyczne środowisko Warszawy. Z praktyki wojennej i obecnej okupacji okazało się, że tylko zespół komuny lwowskiej mógł poważnie konkurować w wypracowaniu typu "kultury" w Polsce. Wszystko, co Polska przeżyła w czasie okupacji i co znosi obecnie, w okresie gwałtownego urabiania społeczeństwa polskiego na składowy element "cywilizacji sowieckiej", — wszystko to miało swe odpowiedniki przed wojną. Wtedy także myśl polska, tradycyjne drogi naszej kultury i polityki ulegały ustawicznemu atakowi pod pozorem postępu i odburzania przeszłości; te cechy narodowe, które warto było kultywować, — ośmieszano; "na poziomie" bywało jedynie to, co odpowiednia sekcja K.P.P. nakazała lansować jako ostatni wyraz zdobyczy artystycznych, czy umysłowych.

Dziś na kraj nasz idzie tak samo suflowana z góry, tym razem jednak z całym poparciem państwowej administracji, fala wstecznicwa, ogłupiania teoriami, które dawno przestały cokolwiek w ruchu umysłowym reprezentować, zalew kłiwego patriotyzmu, bizantyzm w stosunku do "sojuszniczego" Związku Sowieckiego. Wszystko to dzisiaj jest "na poziomie", gdy Jędrzychowscy, Putramenty, Miłosze, Sztachelscy, Przybosie i Ważyki, zajmują dygnitarskie fotele.

Wilno i Lwów, dwie potężne pochodnie cywilizacji chrześcijańskiej i zbiornice cennych zdobyczy kulturalnych narodu polskiego, stały

się pierwszym etapem ofensywy myślowego bolszewizmu. Nie jest przypadkiem, że nawet w ramach "jałtańskiej Polski" miastom tym odebrano prawo do nazwy polskiej, wyrzucono poza nawias granic.

W analizie tej grupy, która dziś tak owocnie pracuje dla światowego bolszewizmu, zatrzymać się należy na chwilę na okresie sprzed lat piętnastu, gdy w starych murach wszechniczej wileńskiej toczyła się decydująca walka o oblicze duchowe młodego pokolenia inteligencji polskiej. W skali dzisiejszych zmagania były to zaledwie preludia, młodzieńcza walka, przez niektórych zresztą nazywana wyczynami "endeckich żółtodziobów", obserwowana tylko przez policję p. starosty Kowalskiego, czy jego poprzednika (nie jestem mocny w datach panowania starostów grodzkich, wystarczy dokładna znajomość dynastii, z której pochodzili). W ciągu kilkunastu godzin walki wyborczej na Uniwersytecie Stefana Batorego decydował się zasadniczy kurs młodego pokolenia w Wilnie, które miało zdawać w czasie wojny swój najcięższy egzamin. Z jednej strony wystąpił "blok demokratyczny". Różnie się to nazywało: Legion Młodych, Związek Polskiej Młodzieży Demokratycznej, nawet postępowi katolicy z "Odrodzenia", coś w rodzaju dzisiejszych "społecznych katolików" spod znaku B. Piaseckiego. Z drugiej strony młodzież narodowa, zwana także "antypaństwową", zgromadziła się z mocnym postanowieniem przepędzenia demokratów w rodzaju p. Jędrzychowskiego i Dembińskiego z wpływowych i mających duże znaczenie stanowisk w życiu młodego Wilna. Kilkunastogodzinna walka wyborcza zakończyła się klęską komuny i grup komunistujących, — całego "bloku demokratycznego."

W pięć lat później, w roku 1937, większość kierowniczego zespołu intelektualistów wileńskich zasiadała na ławie oskarżonych pod zarzutem zdrady państwa i konspiracji komunistycznej. Bezpośrednio przed tym nastąpiły w Wilnie charakterystyczne wydarzenia drobnej na pozór miary, jak manifest "komunistycznych katolików" Henryka Dembińskiego, zapowiadający uzgodnienie chrześcijaństwa z komunizmem; w tym samym czasie krystalizowała się sekcja artystyczna komunistów wileńskich, opanowując wcześniej powstały poetycki ruch awangardowy "Zagarów". i "Sto." Nie znaczy to oczywiście, by wszyscy artyści awangardowi poszli za nowymi przywódcami politycznymi, albo też, by świadomie działali w ówczesnej piątce kolumnie. W ciągu kilku lat nastąpiła selekcja wśród młodych literatów. Niepewni i niełojalni odpadli, pozostali zupełnie zdecydowani politycznie, zakładając "Po prostu" i "Kartę"; koła geografów, czy geologów (dokładnie nie pamiętam) urządziły manifestację na cześć Związku Sowieckiego pod postacią hołdu dla wielkiego uczonego (?) Kirowa. Była to oznaka lojalności polskich komunistów wobec wewnętrznych pociągów Związku Sowieckiego. Przemawiając na falach wileńskiej rozgłośni intelektualści i literaci realizowali swój program propagandowy. Wystarczy przypomnieć przeraźliwe dukanie kilku jakałów przed mikrofonem w audycji, transmitowanej na całą Polskę z sali Związku Literatów, dyskusji, czy "sądu" nad "Panem Tadeuszem". Kariera poetycka najmłodszego pokolenia omawianej grupy szła tą samą drogą, po której do przeszytego dnia idzie

rozkład postawy artystycznej na całym świecie. Pod pozorem katastrofizmu w treści i zewnętrznej formalizmu, wszędzie ten sam snobizm zasad elitarnych, ta sama pustka treści, puszenie się formy, te same konwentykle homoseksualistów, jak wówczas chodzenie pod rękę młodego Czesława Miłosza z Jarosławem Iwaszkiewiczem.

Nad wszystkim panuje spokojny, obrzydliwy, bezzębny Stefan Jędrzychowski. Trybun wiecowy i "katolicki komunista" Henryk Dembiński przeznaczony jest na widomego lidera ruchu do porywania mas. Porywa też historyczne paniątki, którym znudziły się rygory wychowawcze SS. Nazaretanek, jakieś nie mające szans życiowych bidule-pokraki i pierwszoroczne studenty. Wszystko to gania jak stado szpaków za swym czerwonym przywódcą. Jędrzychowski, prawnik i ekonomista, sumuje szanse, oblicza siły i pilnie wysyła raporty. Dembiński używany jest do pewnych ryzykownych nawet demonstracji, jak zjazd komunistyczny w Lublinie, jak publicystyka, lawirująca między dozwoloną linią umysłowego radykalizmu, a bolszewicką agitacją. Demonstrując pobożność, uwodzi swą żarliwością kilku księży, którzy patrzą z sympatią na nowego Savonarolę. Działalność i znaczenie ówczesnych radykalnych katolików wymagałaby szczegółowego studium.

Ciekawe odkrycie zostało dokonane w czasie wojny, w pierwszym dniu po wycofaniu się wojsk rosyjskich, uciekających przed ofensywą niemiecką. W administracji bolszewickiej gazety po polsku ("Prawda Wileńska") znalezione zostały dokument, świadczący o związkach organizacyjnych pewnych jednostek w zakresie działania na społeczeństwo katolickie. Dokument ten to podanie jednego z wybitnych działaczy Akcji Katolickiej w Wilnie o przyjęciu na członka rzeczywistego Komunistycznej Partii Litwy; w życiorysie swoim petent uzasadnił podstawy tego przyjęcia, a mianowicie swą długoletnią działalność według instrukcji Komunistycznej Partii Polskiej i "trudną pracę w odkomenderowaniu na odcinek katolicki".

T. zw. czynniki miarodajne, oficjalne sfery urzędnicze, "państwowoworcząca" część społeczeństwa snubuje się tym "kwiatem młodzieży". Pierwszy raz powinięła się noga intelektualistom wileńskim w roku 1937, kiedy to spory zespół przywódców zasiada na ławie oskarżonych. Proces ten wywołuje niesłychane roznamietnienie. Następują interwencje bardzo wysoko w aparacie państwowym stojących osobistości, prokuratora nawiedzają sekundanci za rzekomą obrazę jednego ze świadków odwodowych. Proces z roku 1937 do dziś nie jest zakończony. Prokurator ma dziś okazję do smutnej satysfakcji. Oskarżeni w przyspieszonym tempie odrabiają stracony wówczas na rozprawach sądowych czas. Wszyscy, komu wystarczyło stanowisk w dywersyjnych organizacjach jak Związek Patriotów w Moskwie, jak sowiecko-polska administracja, w wojsku Berlinga, czy dzisiejszej "wolnej i niepodległej" republice, wszyscy: Jędrzychowski, Putrament, Sztachelski, Miłosz, Ryńca, Petruszewicz (junior) zajmowali i zajmują eksponowane stanowiska. Putrament ma w swym dorobku pisarskim zozydanie żołnierza polskiego, Sztachelski (b. minister aprowizacji i zaopatrzenia) poszczycić się może publicznym stwierdzeniem w Wilnie

ANDRZEJ ZAPOLSKI

REPUBLIKA I KRYZYSY

(Korespondencja własna z Rzymu)

w roku 1941, że deportacje ludności polskiej przeprowadzane w straszliwych sowieckich warunkach odbywają się "zgodnie z wymogami higieny". Nie żyje trybun Henryk Dembiński. Zginął przypadkiem, uciekając przed Niemcami, zastrzelony gdzieś koło granicy polsko-sowieckiej. Cicho jakoś o Teodorze Bujnickim, jednym z najgorszych służalców okupanta sowieckiego, autora licznych wierszy na cześć Stalina, ojczyzny radzieckiej i niezwycięzonej w wojnie z Finami armii czerwonej.

Cała reszta, prowadząc po katastrofie wrześniowej gorączkową robotę w okupacji sowieckiej, w Wilnie czy we Lwowie, ucieka potem do Moskwy, gdzie staje się grupą ekspertów w akcji przeciw narodowi polskiemu i jego prawowitym władzom. Ci ludzie, długo i jego prawowitym władzom. Ci ludzie, długo i jego prawowitym władzom. Ci ludzie, długo i jego prawowitym władzom. Ci ludzie, długo i jego prawowitym władzom.

Wilno tymczasem, prawdziwe Wilno przeżywa lata swej przedostatniej tragedii. Miasto nominalnie litewskie (o którego honor ani jeden pluton litewski nie oddał symbolicznego choćby strzału) pokazało, że naprawdę jest głębokim złochem polskiej kultury narodowej. Z wielką godnością i w zdecydowanym oporze staje Wilno przeciwko czerwonomu prostactwu, godzącemu w odporność, w niezrozumiałą dla Wschodu "pańskość" naszej kultury.

Znów więc z marginesu społecznego wypływają na światło dzienne, na kierownicze stanowiska przeróżne podejrzane indywidua. Znów łobuzeria udaje "sztukę" i "kulturę", a szeptana propaganda nieustannie twierdzi, że jakkolwiek opór nie ma sensu. Zmaltretowanych do ostatek ludzi z innych miast Polski, t.zw. uchodźców, prasa bolszewicka nawołuje do przyjęcia obywatelstwa sowieckiego. Serię artykułów pisze Stefan Jędrzychowski, sławiąc wielkoduszną Związkę Radziecką a śliniąc się na "byłą Polskę". Rzekoma nauka, w osobie prof. Dembowskiego (biolog), wysłała się i lansuje jako ostatnią zdobycz teorii Darwina, mającą dać inteligencji polskiej podstawy poglądu na świat. Przedwojenny, pomylony nieco radykał, dobry zresztą matematyk prof. Rudnicki ogłasza artykuł w prasie o tym, jakie to szczęście jeszcze raz zostać studentem i studiować na uniwersytecie ludowym zasady leninizmu i stalinizmu. Słabsi głupiej, łamią się, wszystkich ofensywa komunistyczna męczy i denerwuje. Ciężka to i nierówna walka. Oto przychodzi dzień "radosnego święta", pierwszy maja 1941 roku. Pewien znajomy mój, nauczyciel gimnazjum, tkwiący jakimś cudem na swym stanowisku, pokazuje mi okólnik władz sowieckich przesłany szkołom. W myśl okólnika wszyscy bez wyjątku uczniowie mają obowiązek stawienia się na manifestację pierwszo-majową; za pogodny, uśmiechnięty wyraz twarzy każdego ucznia odpowiada osobiste jego wychowawca. Oto szczyt sowieckiego zakłamania, oto "wysoki poziom," o który walczyli intelektualści wileńscy. Inteligencja otrzymuje cios za ciosem i chwieje się pod uderzeniami, aż żal patrzeć. Duchowieństwo tylko całym swym zespołem ludzkim staje do zażartej walki, rozgrzewa się duchem misjonarskim. Kościoły są przepelnione, kazania porywają, nazywając rzeczy po imieniu: zdradę—zdradą i zbrodnię—zbrodnią.

Na nabożeństwie w dniu 3 maja 1941 śp. ksiądz Henryk Hlebowicz w kościele św. Jerzego woła z kazalnicy o pełną postawę chrześcijańską i narodową.

— Jeśli — wołał do tłumnie zgromadzonej

ROK MIJA od czasu jak Włochy, odrzucając monarchię, weszły na drogę rządów republikańskich i zaczęły stawiać pierwsze kroki, jakże niepewne i chwiejne, na nowym gruncie życia państwowego. A trzeba powiedzieć, że grunt ten był chaotycznie przeorany przez 20 lat faszystów, przez kataklizm wojenny i przez powojenne zmagania wszelkiego rodzaju sił — politycznych, ekonomicznych i społecznych. Rok republiki to rok kryzysu, który oczywiście nie zaczął się z dniem 2 czerwca 1946 roku i który również oczywiście nie skończył się z dniem 2 czerwca 1947, chociaż zakończył się właśnie trzytygodniowy kryzys gabinetowy, trzeci z kolei w tym okresie i niezwykle ważny dla dalszego rozwoju wypadków w powojennej Italii. Od wyników pracy nowego rządu zależać będzie, w jakim stopniu i w jakim kierunku zmieni się oblicze polityczne kraju i parlamentu, który kraj wybierze na jesieni według nowej konstytucji i ustawy wyborczej. Pierwszym i głównym zadaniem nowego gabinetu jest zahamowanie grożącej katastrofy finansowej i rzucenie trwałych fundamentów pod odbudowę ekonomiczną Italii. Nic więc dziwnego, że te ostatnie tygodnie minęły w gorące ogólne, a nowy rząd stanowi aktualność pierwszej wielkości, i to nie tylko dla Włochów.

Ogólne krzyżowanie się prądów politycznych, którego świadkami jesteśmy, powoduje, że wydarzenia wewnętrzne kraju europejskiego nabierają niespodziewanych odłasków natury międzynarodowej w konfliktie amerykańsko-rosyjskim, a konflikt ten z kolei wywiera także swój wpływ na politykę wewnętrzną każdego państwa. We Włoszech

młodzieży — potrzeba przykładu, to ja go wam jestem gotów dać, choćby tu, na tej kazalnicy, miała się połać moja własna krew. Obecna w kościele moja matka jeszcze mnie na to pobłogosławi!

Ksiądz Henryk Hlebowicz był tym, który w czasach przedwojennych, ufając żarliwości Dembińskiego, patrzył z sympatią na jego początkowe działania. Dopiero wojna przyniosła pełne rozczarowanie. Gdy Dembiński w czasie okupacji przyjeżdża z Mińska, gdzie przebywał jako sowiecki uczonek — usiłuje ks. Hlebowiczowi złożyć wizytę. Ten bez ceremonii wyprasza z domu obrzydliwego gościa. Drogi polskie i niepolskie rozeszły się ostatecznie i zbyt widocznie. Konsekwentny do końca wybiera się ks. Hlebowicz podczas okupacji niemieckiej z misją katolicką na ziemię Mińska, Smoleńska i Witebska. Widzi olbrzymi renesans wiary — i z takim obrazem ginie, rozstrzelany przez Niemców.

W tym czasie Putrament daje upust swemu popędowi popisywania się w Moskwie, Jędrzychowski z Wasilewską szkicuja plany dalszej akcji ofensywnej na społeczeństwo polskie, a reszta pomniejszych płotek w Rosji Sowieckiej, czy w kraju odbywa skrócone szkolenie do następnego etapu.

Gdy w czasie okupacji niemieckiej, przeszedłszy granicę ówczesnych linii dzielących terytorium polskie, znalazłem się w Warszawie, dla zaznajomienia grona kolegów i zaproszonych gości wygłosiłem w pewnym mieszkaniu

wpływy tego konfliktu przesiąkły głęboko w życie polityczne od pierwszej chwili wyzwolenia kraju przez aliantów. Penetracja wpływów sowieckich była silna, choć zamaskowana znanymi hasłami "demokracji"; alianci nie zwalczali jej z uwagi na rzekomą wspólnotę tychże ideałów i zdali sobie z niej sprawę, jak zwykle, doświadczwszy na własnej skórze, dopiero gdy stało się dla nich jasne, co znaczy sowietyzacja, chociażby stopniowa, centralnej pozycji w basenie śródziemnomorskim.

Jak wiadomo z włoskiej walki podziemnej wyłonił się, tak jak i w krajach Europy Wschodniej, osławiony Komitet Wyzwolenia Narodowego, ujawnił się wachlarz "szczęściu stronictwa demokratycznych", utworzył się pierwszy tymczasowy rząd koalicyjny pod egidą aliantów i przyjechał z Rosji świeżo wyszkolony sekretarz włoskiej partii komunistycznej, dalszejszy poseł Togliatti. Firmę rządową dali starzy parlamentarzyści sprzed faszystów, ale główną robotę propagandową i organizacyjną robili komuniści, jedyni posiadający odpowiednie środki, aparat ludzki i długoletnie doświadczenie na polu piątej kolumny. Inne stronictwa ruszyły z opóźnieniem zwalczając się oczywiście nawzajem. Od tego czasu walka polityczna we Włoszech jest pasmem zmagania stronictwa umiarkowanych z komunizmem i z komunizującą lewicą; te ostatnie zyskały na sile na tle pogarszających się warunków ekonomicznych.

Komuniści we Włoszech opanowali włoską federację związków robotniczych (C.G.I.L.), koleje i w wielu okolicach masy chłopskie pod hasłem reformy rolnej. Ostatnim ich sukcesem

odczyt o metodach łamania społeczeństwa polskiego przez okupanta sowieckiego, rysując wyraźnie rolę przedwojennej lewicy intelektualnej Wilna. Obecny na odczyt Czesław Miłosz, zastrzegając się przeciw wydawaniu sądów przez zwykłego śmiertelnika o ludziach "bądź co bądź niezwykłych".

Gdy spojrzałem na Miłosza, przypomniał mi się pewien słoneczny letni dzień w parku Paderewskiego w Warszawie, na krótko przed wojną. Odpoczywałem właśnie wyszedłszy z basenu pływackiego. Obok wygrzewał się na słońcu Miłosz. Znając się jeszcze z czasów szkolnych, zaczęliśmy rozmowę o nadchodzącej wojnie. Wyraziłem swą troskę o losy Polski.

— Nic mnie Polska nie obchodzi — cedził, jak zawsze przesadnie wolno, Czesław Miłosz — to przecież taki jakiś narodek, i krak idący gdzieś w ognie daleko za Bułgarią. . .

Skoczyłem wtedy do wody, bo mnie ten kabotyn zawsze denerwował.

Gdy przeglądam dziś prasę z Polski i czytam przy dobrze znanym towarzystwie tytuły ministrów, ambasadorów, dyrektorów, gdy znów kabotyni, homoseksualiści i głupcy najeżdżają kulturę polską w celu jej ostatecznego zniwelowania — przychodzi mi zawsze z pomocą coś nierealnego dzisiaj: dokładnie zarysowany na niebie obraz trzech białych krzyży nad dalekim miastem. Są takie same jak wtedy, przed kilkunastu laty, gdy o duszę Wilna, i nie tylko Wilna, rozpoczął się najzwyklejszy, do dziś trwający bój.

WIKTOR TROŚCIANKO

i to niespodziewanym były wybory do sejmiku regionalnego na Sycylii, gdzie do spółki z ugrupowaniami lewicowymi uzyskali 1/3 mandatów. Starym zwyczajem zdobyli również kontrolę nad socjalistami i trzymają ich na pasku ścisłym porozumieniem w sprawie wspólnej linii politycznej. Oczywiście sami na tym zyskują zabierając partnerom coraz to nowe szeregi członków.

Co do innych stronnictw lewicowo usposobionych kontrola komunistów objawiała się w momentach kryzysowych, jak rozmaite wybory, lub jak ostatni kryzys. Służą one głównie jako pionki dla stwarzania większości lewicowych, rozbicia jakiejś pozytywnej inicjatywy nie lewicowej lub też dla prowadzenia jakiejś niewygodnej akcji na rachunek komunistów. Prasa umiarkowana i prawicowa nazywa je czasem "półstronnictwami". W każdym razie nie można powiedzieć o nich, żeby spełniały swą rolę w społeczeństwie: regulowania zdrowego różnicowania politycznego. Jednego pola komuniści nie opanowali bo opanować nie chcieli, t.j. rzeczywistego i rzeczowego dźwignięcia mas włoskich z nędzy i ruin powojennych. Ale ich rozwiązania są tak radykalne i tak ekskluzywne, że opozycja stronnictw umiarkowanych służy jako materiał do zwalczania przeciwników sowietywizacji, to o co właściwie komunistom chodzi.

Sytuacja ekonomiczna Włoch jest oczywiście niepokojąca. Jednym z głównych problemów jest niewystarczająca ilość zboża, które Włochy zawsze musiały sprowadzać, by wyrównać niedobór domowych zbiorów. Ale o ile dawniej było czym płacić, dziś rzeczy stoją inaczej. Nie ma wpływow z turystyki, nie ma kwot, które przysyłał emigranci i robotnicy sezonowi, i nie ma też szeregu poważnych rynków zbytu dla włoskiego wywozu. Stałe wzrastający deficyt państwowy wzrósł ostatnio do ok. 700 miliardów rocznie, podczas gdy cyfra bezrobotnych przekroczyła 2 miliony. Zjawiskom tym towarzyszy stopniowa inflacja, wzrost cen, wzrost płac robotniczych pod presją strajków i dezorganizacja ogólna, z której korzystają tylko agitatorzy lewicy, lub spekulacja. Ta niewesoła sytuacja była dotąd latana znaczną pomocą U.N.R.R.A. i dorywczymi kredytami Ameryki w momentach bardziej krytycznych. Dziś, kiedy U.N.R.R.A. przestaje działać, dalsza pomoc regularna Ameryki jest niezbędna, chociażby tylko dla samej dalszej egzystencji Włoch. A chwilowe zahamowanie życiodajnej pomocy obnażyło dotkliwie katastrofalną sytuację i ostatecznie wywołało kryzys gabinetowy. Ameryka bowiem jest skłonna pomagać w odbudowie Włoch, ale celem polityki Trumana jest zahamowanie komunizmu, a nie popieranie go amerykańskimi dolarami. To zaś co się działo w rządzie włoskim skłaniało się raczej ku programowi komunistów.

Rząd tworzyła Chrześcijańska Demokracja, najliczniejsze stronnictwo w Izbie (ponad 200 mandatów) do spółki z socjalistami i komunistami, na podstawie porozumienia, które miało obowiązywać aż do przyszłych wyborów. Skutki tej spółki były smutne, gdyż Chrześcijańska Demokracja i premier de Gasperi, którzy dawali firmę na zewnątrz, musieli też odpowiadać prestiżem osobistym i stronnictwa za każde niepowodzenie. A o to komuniści mogli się zawsze postarać i starali się gorliwie. Oczywiście destrukcyjna propaganda lewicowa robiła swoje w całej tej grze i wpływy czerwone wśród warstwy robotniczej stale rosły. De Gasperi dwukrotnie poprzednio próbował oczyścić atmosferę polityczną z dwulicowości swych czerwonych partnerów, ale nigdy nie znalazł odpowiedniego poparcia u małych stronnictw, manewrowanych przez

komunistów i zajadłych na punkcie swych partykularnych egoizmów.

Wszystko ma swój kres. Wygodna metoda przyjmowania pewnej uzgodnionej polityki w łonie rządu, a praktykowanie polityki wręcz przeciwniej na terenie kraju nie mogło trwać długo. Przyszła chwila, że trzeba było się zdecydować w jedną lub drugą stronę. Trzeba było się zdecydować na społeczeństwo zorganizowane według zasad własności oraz ekonomii normalnego rynku, lub też na społeczność opartą o kolektywizację, na autarchię głodu. Konieczność tego wyboru wywołała kryzys, którego lewica chciała koniecznie uniknąć.

Kryzys zaś był długi, gdyż z jednej strony lewica nie chciała zdać sobie sprawy z tej konieczności, a z drugiej strony nie chciała nawet wziąć na siebie odpowiedzialności za katastrofę, która by była rezultatem jej błędu. Dlatego też lewica, a ściślej mówiąc wydelegowani do tego socjaliści, twierdzili, że de Gasperi podał się niepotrzebnie do dymisji, zamiast stanąć przed Izłą i odpowiadać własną osobą i prestiżem partii za stan finansowy kraju. De Gasperiemu zaś właśnie chodziło, by nie ponosić kary za cudze winy, które znosił przez półtora roku, i wyjść nareszcie z tak dwuznacznej spółki.

Pierwszą próbą rekonstrukcji rządu przez de Gasperiego było rozszerzenie gabinetu przez włączenie elementów liberalnych i fachowych. Liberalowie jednak odmówili współpracy razem z komunistami. Mandat tworzenia rządu przeszedł z kolei w ręce weterana sprzed faszystów, 79-cioletniego b. premiera Nittiego, który próbował kombinacji centrowo-lewicowej, lecz musiał zrezygnować, głównie z powodu opozycji socjalistów z rozłamu antykomunistycznego. Powołano do pomocy inny weteran polityki włoskiej, b. premier z czasów Pierwszej Wojny Światowej i Traktatu Wersalskiego, 87-letni Orlando, którego wysiłki szły bardziej na prawo, doznał również niepowodzenia, tym razem od socjalistów komunizujących. Mandat wrócił więc w ręce de Gasperiego, gdyż nikogo innego nie było na widowni politycznej.

Tym razem leader Chrześcijańskiej Demokracji próbował kombinacji gabinetu złożonego z ludzi swojej partii i fachowców zaczerpniętych u socjalistów dysydentów, lecz wygórowane żądania tych ostatnich storpedowały i ten projekt. W międzyczasie komuniści, którzy zachowywali się dotąd ze znaczną rezerwą, zaczęli się burzyć i agitować w prasie przeciwko zamiarom wykluczenia ich z rządu. Ale stało się jasne, że wobec ich nieprzejednanego żądania abdykacji politycznej ze strony ewentualnych partnerów, oraz wobec tragicznej sytuacji finansowej de Gasperi będzie zmuszony próbować ostatniej drogi możliwej t.j. gabinetu partyjnego, wzmocnionego fachowcami niezależnie od ich koneksji politycznych.

Ostatnią jednak kroplą wody, która przelała dzban i zamknęła drogę komunistom, był epizod dość niespodziewany w swych skutkach. Chodzi tu o incydent Sumner Welles — Togliatti. W odpowiedzi na artykuł b. Sekretarza Stanu amerykańskiego, który twierdził, że poseł Togliatti, sekretarz włoskiej partii komunistycznej brał pieniądze od Moskwy i że pewne osoby urzędowe we Włoszech mają na to dowody, — Togliatti wybuchnął, że to oszczerstwo, oraz w czołowym artykule głównego organu komunistycznego *Unita* zwymyślał Wellesa i Amerykanów w czambuł od "durniów" i od "handlarzy niewolnikami". Reakcja nie dała na siebie czekać i to w formie najboleśniejszej, gdyż Amerykanie uważnie

śledzący rozwój kryzysu przerwali natychmiast rozmowy finansowe o niezbędną pożyczkę, o którą włoska delegacja mozolnie prowadziła rokowania w St. Zjednoczonych. Alarmujące raporty poszły do Rzymu, gdzie odbyła się tajemnicza konferencja pomiędzy de Gasperim, ministrem spraw zagranicznych Sforzą i Togliattim. Oficjalnych komentarzy na ten temat nie było, lecz to, co przysporzyło tak niebezpiecznych trudności finansom włoskim i de Gasperiemu, skrupiło się ostatecznie na ich autorze. Lewica poniosła klęskę taktyczną, licząc, że zmusi de Gasperiego do powrotu do stałej formułki trzech stronnictw. Stawiała więc trudności bez końca podczas rozmów politycznych, a gdy to nie pomogło, zaczęła grozić konsekwencjami. Tu właśnie przegrała, gdyż de Gasperi wiedział, że komuniści, chociaż silni i zorganizowani, nie mogą ryzykować otwartego gwałtu przed wyborami. To też zważywszy siły polityczne, na które będzie mógł liczyć, czując że opinia umiarkowana w kraju go poprze, czując również, że znajdzie poparcie Ameryki, zdecydował się na krok, stanowiący niespodziankę dla szerokiej opinii przez śmiałość i zdecydowaną postawę w ostatnich dniach kryzysu w kontraście do swego zwykłego kunktatorstwa. Część opinii przypisuje tę postawę presji ze strony Waszyngtonu, co nie jest ostatecznie dowiedzione, nazywając premiera pierwszym człowiekiem Trumana we Włoszech. Ale raczej można powiedzieć, że trudno w tej chwili odróżnić, gdzie się kończy presja amerykańska (jeżeli w ogóle jest taka), a gdzie się zaczyna zgadywanie polityki Waszyngtonu ze strony Rzymu.

Rząd, który powstał, nie jest bynajmniej, jak to głosi zirytowana, komunizująca lewica, rządem antyparlamentarnym i zamachem reakcji przeciwko klasie robotniczej; jest to rezultat presji twardej rzeczywistości ekonomicznej i ostatnia próba ratowania kraju od ruiny. Najważniejszą osobistością jest wicepremier Einaudi, liberał, który jako wybitny finansista i prezes Banku Włoskiego bierze na siebie ministerstwo bilansu, oraz koordynację i reorganizację ministerstw skarbu i finansów, z których pierwsze jest powierzzone w ręce równie wybitnego fachowca, profesora Del Vecchio, wykładowcy ekonomii na uniwersytecie w Mediolanie. Reakcja na giełdzie papierów i pieniężne jest wyraźnie przychylna. Ze komuś nie idzie to w smak to jasne, ale jasne jest też, że tak klasa robotnicza, jak i warstwy o stałym dochodzie więcej zyskają na stabilizacji aniżeli na chaosie i na gwałtownym przewrocie.

Jakie są perspektywy nowego rządu wobec opozycji komunistów i lewicy? Otóż opozycja jest w tych warunkach nie na miejscu, a odpowiedzialność za rząd jest nie mniejsza od odpowiedzialności za opozycję. I w tym sensie można powiedzieć, że z kryzysu nie wyszli ani zwycięzcy, ani zwyciężeni. Jakkolwiek ze strony lewicy padają słowa takie, jak "zdradca demokracji" i "kanclerz", zdaje sobie ona sprawę, że nie należy szukać odwetu natychmiast, zwłaszcza drogą gwałtu, gdyż widocznie z góry (czytaj z Moskwy) nie ma rozkazu. Z chwilą gdy Włochy weszły w sferę wpływów nowej polityki Trumana, sytuacja komunistów włoskich upodabnia się do sytuacji komunistów we Francji, której Ameryka świeżo przyznała pożyczkę.

Na tle nowych wypadków odbyły się 2 czerwca oficjalne i znamienne obchody z racji pierwszej rocznicy republiki. Oficjalne, gdyż pomimo wszystko poczucie nowej formy życia państwowego nie przenikło głęboko do świadomości mas włoskich, które, jak wiadomo,

JĘDRZEJ GIERTYCH

JESZCZE O JAGIELLONACH

Jestem wdzięczny p. T. Piszczkowskiemu za jego artykuł „Polityka Jagiellonów”*) mimo, że się z sobą nie zgadzamy. Wymiana poglądów ożywia polityczną myśl, rzeczowa dyskusja przyczynia się do ustalenia prawdy.

Książka moja *Polityka polska w dziejach Europy* poświęcona jest dziejom Polski pod kątem widzenia polityki zagranicznej. A wszak ustalenie zasad polskiej polityki zagranicznej na nadchodzący okres jest najważniejszym zadaniem, jakie dziś przed nami stoi, jeśli mamy, jako generacja, spełnić nasz naczelny obowiązek, jakim jest odbudowanie Polski w pełni niepodległej i zdolnej do życia. To też dyskusje na temat polskiej polityki zagranicznej, zarówno nowoczesnej, jak dawnej — zawsze jednak dostarczającej nam zasobu doświadczeń i materiału do rozważań na przyszłość — są dziś zawsze pożądane i pożyteczne. Chętnie więc wstąpię do dyskusji podejmując i korzystam z gościnnych ław *Myśli Polskiej*, by p. Piszczkowskiemu na jego wywoły odpowiedzi.

Naprzód sprostowanie natury formalnej. P. Piszczkowski uważa moją książkę za produkt kłeski 1939, za jedną z „prac historyczograficznych, usiłujących katastrofę narodową wiązać ze splotem wypadków w odległej historii”. Książka moja została napisana istotnie w czasie wojny; nie powstała jednak pod jej wpływem. Moje poglądy były przed

*) *Myśl Polska*, nr. 111.

Dokończenie ze str. 6

były więcej niż podzielone w kwestii plebiscytu i czuje namacalnie, że wyrzucenie dynastii sabaudzkiej nie uzdrowiło kraju, — znamienne z uwagi na klimat polityczny, w jakim się odbyły, i sfery, które brały w nich udział.

Święcili republikę głównie komuniści i zależna od nich lewica, która przeforsowała sporny rezultat plebiscytu i która wobec opozycji do nowego rządu głosiła hasła obrony przed zamachem „reakcji”, przypominając styl sloganów faszystowskich. Ale entuzjazm był sztuczny i raził nienaturalnością. Defilada okrojonego wojska włoskiego trwała 15 minut, hymny państwowe z braku nowego hymnu były zastąpione przestarzałymi pieśniami z czasów Garibaldi, a godło państwowe na fladze narodowej nie było zastąpione, bo go dotychczas nie ma. Natomiast było dużo czerwonych flag z obcym godłem i dużo plakatów antyrządowych po południu podczas manifestacji na Piazzas Del Popolo. Tymczasowy naczelnik państwa de Nicola, b. przewodniczący Izby i szanowany prawnik, pojechał na „lampkę wina” do gmachu parlamentu. Tam go oficjalnie fetowały sfery polityczne i urzędowe, a wieczorem, „aż” 30.000 osób, (jak twierdzą złośliwe organy prawnicze) demonstrowało przy pochodniach pod oknami jego rezydencji. Prezydent zaś z balkonu długo kłaniał się wiwatującym tłumom, broniącym „zagrożonej” republiki. Czyżby „la République est en danger”? To by pachniało starą rewolucją francuską, terrorem: „la terreur”. Ale to jest tylko taka polityka, której szary człowiek ma już po uszy; hasłem jego jest dzisiaj: „troppa politica, poco pane” — za dużo polityki, za mało chleba.

ANDRZEJ ZAPOLSKI

Rzym, czerwiec 1947.

kłeską 1939 r. nie inne. Zasadniczy zrab tych samych poglądów znajdzie czytelnik już w mej książce *Tragizm losów Polski*, wydanej w r. 1936.

Drugim sprostowaniem — które tu podaję tylko ogólnie, a które niżej powtórzę w szczegółach — jest, iż nie wszystko, z czym p. Piszczkowski w swym artykule polemizuje, zwraca się przeciwko moim poglądom. W bardzo wielu punktach jestem z nim w poglądach zgodny — i przypisywanie mi myśli, które uważa on za stosowne zaatakować, oparte jest na nieporozumieniu.

Przechodzę do kwestii merytorycznych.

Osią sporu jest polityka Jagiellonów. P. Piszczkowski łączy w swoim artykule sprawę polityki Jagiellonów ze sprawą paktu unii polsko-litewskiej. Mówiąc o unii *expressis verbis* stawia mi pytanie: „Czy . . . mielibyśmy jednak żałować, że się ona stała?” Podejrzanie, że mógłbym żałować faktu unii, jest tak niesprawiedliwe, iż nie próbuję nawet go odierać. Każdy, kto przeczytał moją książkę uważnie, wie, że uważam unię za fakt w naszych dziejach zbawienny i wspinający, ale że natomiast politykę domu jagiellońskiego, zwłaszcza Kazimierza Jagiellończyka i większości jego następców, uważam za błędną. Ale p. Piszczkowski broni nie tylko unii. Broni także i polityki domu jagiellońskiego.

Tezy jego są następujące. 1) „Dynastia Jagiellonów uczyniła Polskę wielkim mocarstwem; ona postawiła tamę „misji cywilizacyjnej” elementu niemieckiego nad Bałtykiem; ona wydarła masy ludności prawosławnej Rusi i Wschodowi; ona przesuwała panowanie Zachodu i katolicyzmu daleko na wschód; ona zdobyła dla polskości szerokie rzesze nowych Polaków”. „Przez związek z Litwą . . . uczynili ją (Polskę) Jagiellonowie pierwszym państwem europejskim”. 2) Nie można Jagiellonom czynić zarzutu, że prowadzili politykę dynastyczną. „Dynastia zbyt często była w owych czasach identyfikowana z państwem — i odłączanie celów dynastycznych od celów narodowych nie było do pojęcia . . . Polityka dynastyczna Jagiellonów była najmądrzejsza z możliwych do pomyślenia w owym czasie”. 3) Jagiellonowie dobrze zrobili, że nie wykonali układu krewskiego o wcieleniu Litwy do Polski, gdyż unia byłaby się rozleciała. 4) „Rozstrój państwa, który pociągnął za sobą jego upadek, nie był dziełem Jagiellonów”. Ujemnych skutków polityki jagiellońskiej w szeregu spraw nie można było wówczas przewidzieć. Nie należy polityki jagiellońskiej krytykować wedle jej skutków, stwierdzonych *a posteriori*, ale rozważać ją na tle warunków współczesnych.

Postaram się na powyższe tezy, stanowiące polemikę z tezami mojej książki, odpowiedzieć po koleji.

1) Wielkim mocarstwem uczyniła Polskę nie dynastia jagiellońska, ale fakt unii z Litwą. To nie Jagiellonowie „uczynili związek z Litwą”. Tymi politykami *poliskimi*, których dziełem jest koncepcja unii z Litwą i jej wcielenie w życie, byli panowie małopolscy. Wstąpienie dynastii jagiellońskiej na tron polski było *konsekwencją* unii z Litwą, a nie jej źródłem. W akcie unii Jagiellonowie występowali jako partner z przeciwej strony, jako przedstawiciele polityki litewskiej, a nie polskiej; można ich za zawarcie unii chwalić lub potępiać ze stanowiska litewskiego, ale z punktu widzenia polityki polskiej nie można

im przypisywać zasługi tego genialnego posunięcia, gdyż oni polityką polską w owej chwili jeszcze nie kierowali. Również i dalsze owoce unii nie są, lub tylko częściowo są osobistym dziełem Jagiellonów. Rozprawa z Zakonem Krzyżackim (Grunwald i wojna trzynastoletnia), jest niewątpliwie w rubryce zasług Jagielly i Jagiellończyka pozycją olbrzymią. Ale trzeba pamiętać, że ta rozprawa była dla strony polskiej głównym celem unii. Jest ona zasługą Jagiellonów właśnie dlatego, że dokonana została w myśl tradycji polityki polskiej: Łokietka i panów małopolskich. W ogóle zasługą Jagiellonów jest wszystko, co robili w myśl tych tradycji, winą — wszystko, co robili wbrew nim. Niestety — tego ostatniego jest w polityce jagiellońskiej dużo więcej. To nie Jagiellonowie wydarli masy ludności prawosławnej Rusi i przesunęli granice Zachodu na wschód; dokonała tego unia jako taka, a nie polityka ich rodu. Również i przesunięcie panowania katolicyzmu daleko na wschód nie jest dziełem Jagiellonów. Dokonało się ono dwoma skokami: w roku 1386, gdy ochrzczeni zostali Litwini (a Jagiello i jego ród wraz z nimi), co było przez Polskę postawionym warunkiem unii, a więc zasługą Jadwigi i panów małopolskich, i co stawiło Jagiellonów w pozycji zdobywcy, nie zdobywcy, — oraz w erze kontrreformacji i Unii Brzeskiej, a więc w wiele lat po śmierci ostatniego Jagiellona, gdy dzieło pozyskania Litwinów dla katolicyzmu zostało umocnione, gdy odzyskane zostały z protestantyzmu Inflanty oraz część Litwinów, a wreszcie gdy zostały zdobyte dla katolicyzmu, bądź w formie łacińskiej, bądź w formie unickiej, milionowe rzesze ludności prawosławnej. W dwuwiekowym, obejmującym panowanie jagiellońskie w całości, okresie między Unią Krewską a kontrreformacją, proces ekspansji katolicyzmu na wschód spał, lub toczył się nikłym strumykiem, lub nawet się (głównie na rzecz reformacji) cofał. Jedynym wyjątkiem jest tu akcja Witolda na Zmudzi po roku 1411.

2) P. Piszczkowski nie przeczy, że Jagiellonowie prowadzili politykę dynastyczną, a nie politykę narodo-polską; uważa tylko że w ówczesnej epoce być inaczej nie mogło.

Otóż śmiem twierdzić, że p. Piszczkowski jest tu w błędzie. Istniało w owej epoce wiele krajów, które nie znały innej polityki, niż czysto dynastyczną, celom narodowym najzupełniej obcą. Ale istniały również inne, w których polityka dynastii się z dążeniami polityki narodowej pokrywała. A były jeszcze inne, w których można rozróżnić bardzo wyraźnie odrębny nurt polityki narodowej, nie pokrywającej się z polityką dynastii.

Do tych ostatnich krajów należy przede wszystkim Polska. Jesteśmy jednym z pierwszych krajów w świecie, w których narodziło się poczucie narodowe. Już w średniowieczu dynastia była dla nas środkiem — nie celem. Dzieje nasze nie toczyły się pod wpływem przypadku urodzeń monarszych; naginaliśmy dynastie, albo ich gałęzie, naginaliśmy związki dynastyczne do wymagań racji stanu, dyktowanych dynastiom przez społeczeństwo. Duch republikański rodzi się w Polsce bardzo wcześniej — i początkowo bynajmniej nie ma on cechy rozkładawcy. Przeciwnie: stoi on na straży racji stanu. Spójrzmy, jak zwycięsko uosobione w możnowładztwie i episkopacie polskie społeczeństwo nagina już w XII wieku kandydatury dynastyczne

piastowskie do wymagań racji stanu i koncepcyj polityki zagranicznej! Tradycyjna polityka polska polegała na szukaniu sojuszu z Papieństwem i z Węgrami, oraz na walce z Cesarstwem i z Czechami. Kazimierz Sprawiedliwy siedzi mocno na krakowskim tronie, gdy jest tym tradycjom politycznym wierny, zostaje obalony, gdy się im sprzeniewierza, zostaje przywrócony, gdy na tory dawnej polityki wraca. Również i później, społeczeństwo dobiera sobie dynastie wedle wymogów racji stanu, jak je w danej chwili pojmuje. W roku 1300 taki patriota, jak arcybiskup Świnka, przechodzi do porządku dziennego nad odwiecznymi prawami piastowskiej dynastii i koronuje cudzoziemca, Czecha, na króla polskiego, gdyż nie widzi w ówczesnej sytuacji innego sposobu zjednoczenia Polski. Gdy wkrótce po tym się okazuje, że Piastowicz Łokietek potrafi tego samego dokonać wbrew Czechom, a w oparciu o Węgry i politykę papieską, — cały naród staje po stronie Łokietka. Bez trudu, po śmierci Kazimierza Wielkiego, naród przyjmuje dynastie andegaweńską, mimo, że nie wygłosiła bynajmniej dynastia piastowska, bez trudu również obala klauzule testamentu Kazimierza Wielkiego, związane z kandydaturą Kaźka Szczecińskiego. Po śmierci Ludwika Andegaweńskiego społeczeństwo polskie obala plany dynastyczne Ludwika, nie pozwala zostać królową Polski jego córce, Marii, przeznaczoną do tej roli przez ojca, ani jej mężowi, margrabiemu brandenburskiemu, Zygmuntovi Luksemburczykowi, powołuje na tron jej młodszą siostrę Jadwigę, nie pozwala jej jednak poślubić Wilhelma Habsburga, którego przeznaczył jej za męża jej ojciec, wydając ją natomiast za męża za Jagiellę. To nie dynastie ustalają ze sobą związki, — to społeczeństwo opiera dynastiami jak figurami na szachownicy swej polityki zagranicznej. Gdyby rządziły nami przed Jagiellonami dynastie, byłobyśmy otrzymali po śmierci Ludwika — dynastie niemiecką: bądź Luksemburgów, bądź Habsburgów. I byłobyśmy w unii z krajami niemieckimi. Ale myślimy mieli którą wielkopolską, rządzącą spoza pleców dynastii — i koteria ta stała na straży naszej racji stanu.

To się skończyło po ustaleniu się Jagiellonów na polskim tronie. Dynastyczna polityka rodu jagiellońskiego starła się z polityką polskiej racji stanu, reprezentowaną przez koterię panów małopolskich; pierwsza z tych dwóch polityk osiągnęła zwycięstwo.

Konsekwencją tego faktu było — obok zwicnięcia naszej polityki wewnętrznej — zwicnięcie naszej polityki zagranicznej. Tradycyjny system polityki zagranicznej polegał na sojuszu z Węgrami i na ścisłej współpracy z polityką papieską; cel, do którego dążyli "panowie małopolscy", zmagając się z dynastycznymi dążeniami Jagiellonów, to był blok polsko-węgierski, odzyskanie Śląska i położenie tamy ekspansji tureckiej. Dynastyczny cel Jagiellonów był inny: było nim zdobywanie coraz to nowych tronów dla synów królewskich. Polityka, mająca cel ten na oku, na długie lata poróżniła nas z Węgrami i Moldawią. A gdy wreszcie cel swój osiągnęła i wprowadziła Jagiellonów na tron węgierski, nie oznaczało to istotnego zacieśnienia stosunków polsko-węgierskich, ale przeciwnie, ich znaczne, w porównaniu do możliwości polityki panów małopolskich, rozluźnienie. Wprowadzony bowiem na tron Jagiellon był równocześnie królem czeskim. Tym sposobem powstał blok państwowy czesko-węgierski, który mimo że miał Jagiellona na tronie był wobec Polski siłą dość wyraźnie przeciwstawną. W dodatku Władysław Jagiellończyk czuł się na węgierskim tronie niepewnie, zdobył ten tron w warunkach

wojny domowej, miał dużą część narodu węgierskiego przeciwko sobie, musiał więc szukać oparcia w Habsburgach. Owoce polityki Kazimierza Jagiellończyka zebrali w następnym pokoleniu Habsburgowie. Wepchnięcie tradycyjnemu z nami związanym Węgier w objęcia Habsburgów i stworzenie nad Dunajem systemu obcego nam i mającego stolicę w Wiedniu, jest pośrednio owocem polityki Jagiellończyka. A zapłaciliśmy za ten rezultat dużą ceną: ceną rezygnacji ze Śląska. Gdyby zwyciężyła polityka Oleśnickiego, t. zn. polityka racji stanu polskiej, wszystko byłoby się potoczyło inaczej.

Stwierdzając to, nie przeczę zresztą, że zwycięstwo polityki dynastycznej Jagiellonów nad polityką narodową polską ma w sobie tragiczny pierwiastek rzeczy niemal nieuchronnych. Zwicnięcie naszej polityki było ceną, jaką zapłaciliśmy za wzmocnienie nas przez unię z Litwą. Pisałem już w mej książce, że być może Jagiellonowie zespoliliby się z Polską i jej racją stanu, gdyby Jagiello miał być z Jadwigą syna, który byłby brał udział w bitwie pod Grunwaldem już jako człowiek dwudziestoparoletni i byłby łączący w sobie tradycje jagiellońskie, andegaweńskie i piastowskie. Ale fakt, że pierwszy syn urodził się Jagielle dopiero w 30 lat po wstąpieniu przez niego na polski tron, sprawił, że Jagiello czuł się na tym tronie niepewnie i dlatego przeciwstawiał Polsce swe niezależne oparcie na dziedzicznym tronie litewskim, co stało się źródłem przeciwieństwa między Polską a panującą w Polsce dynastią.

3) Umiar w obchodzeniu się z litewskim separatyzmem był rzeczą potrzebną. Ale Jagiellonowie uczynili coś więcej, niż okazanie umiaru: doprowadzili do cementowania się Wielkiego Księstwa jako odrębnego pod berłem Jagiellonów państwa, — państwa, które dopiero aktem Unii Lubelskiej, na trzy lata przed wygaśnięciem dynastii, złożyło się istotnie z Polską. Przed Jagiellą Litwa była luźnym zbiorowiskiem ziem, złączonych razem przez podobę. Dopiero Witold i Kazimierz Jagiellończyk uczynili z ziem tych jednolity polityczny organizm.

Litwa składała się z ziem rdzennie litewskich i ruskich; nic nie stało na przeszkodzie prowadzeniu przez Polskę polityki innej wobec jednych i drugich. Istniały na Litwie liczne, lokalne dynastie książęce. Nic nie stało na przeszkodzie szukaniu w nich przez Polskę oparcia. A tymczasem Witold te lokalne dynastie poobalał, zamieniając Wielkie Księstwo w państwo jednolite. Fakt ten "podważał musiał zasadę wcielenia Litwy do Polski, łatwą do przeprowadzenia, gdy inkorporacja ta miała objąć tylko właściwą dzielnicę Jagielly, podczas gdy reszta księstw zmieniała jedynie stosunek lenny z litewskiego na polski".**)

W tym sformowanym przez Witolda i Jagiellończyka jednolitym państwie litewskim wytworzyła się grupa arystokracji, — panów rady, — reprezentującej jego rację stanu. Arystokracja ta nie chciała unii z Polską, — sprzeciwiała się jej w Lublinie, gdzie wbrew niej zdecydowała o unii litewska szlachta drobna. Była wobec Polski usposobiona ośrodkowo również i po unii.

Otóż Jagiellonowie, w Koronie walczyli z arystokracją, która reprezentowała tradycje polskiej racji stanu, i popierając opozycyjną wobec niej drobną szlachtę, — na Litwie popierali wręcz przeciwnie panów rady, reprezentujących odrębną rację stanu Wielkiego Księstwa.

** Grodecki, Zachorowski, Dąbrowski: *Dzieje Polski średniowiecznej*, tom II, str. 236-237.

Na marginesie interesujących uwag p. Piszczkowskiego o tym, że od XVI wieku nie mieliśmy prawdziwej arystokracji, pozwalam sobie stwierdzić, że stara arystokracja koronna nie tyle wymarła, co została przez Jagiellonów złamana. To, co później za arystokrację polską uchodziło, składało się z trzech żywiołów. Z trybunów ludu, przewodzących masie drobnoszlacheckiej i robiących kariery polityczne i majątkowe w oparciu o nią. Z plantatorskiego, kolonialnego żywiołu królewiat kresowych, nie ogarniających myślą całokształtu spraw państwa i powodujących się swymi partykularnymi interesami i ambicjami. Oraz z usposobionej wobec Polski ośrodkowo arystokracji Wielkiego Księstwa Litewskiego.

4) Rozstrój naszego państwa ma główne źródło w fakcie, że Jagiellonowie złamali koronną arystokrację, opierając się o drobną szlachtę. P. Piszczkowski ma słuszość, stwierdzając, że drobna szlachta nie była przedmiotem w rozgrywce między dynastią i koterią panów, ale była samodzielnym, trzecim w tej rozgrywce podmiotem i partnerem. Ale rzecz w tym, że Jagiellonowie — chcąc zdobyć w Polsce sojusznika w walce o urzędy — zrywając swą politykę dynastyczną i o złamanie tych, co pilnowali polskiej racji stanu, — sprzymierzyli się ze szlachtą. Nie wzmocnili przez to pozycji własnej, ale arystokrację złamali. Rezultatem było zwycięstwo szlachty, a w dalszej konsekwencji — anarchia.

5) Nie o to chodzi, by Jagiellonowie przewidzieli przyszłość i wszystkie skutki swej polityki; nikt rozsądny tego od nich wymagać nie może. Ale o to, by nie prowadzili polityki, która ze stanowiska polskiej racji stanu już współcześnie była błędem; owe ujemne skutki nie byłyby dzięki temu nastąpiły, bez względu na to, czy mógł je ktoś przewidzieć, czy nie.

Gdyby Kazimierz Jagiellończyk, w myśl tradycji katolickich polskiej polityki, nie był się wiązał z czeskimi husytami i zamiast dążyć do zdobycia z rąk husyckich czeskiej korony dla swego syna byłby dążył do odzyskania Śląska dla Polski, całe nasze dzieje byłyby się potoczyły inaczej. Zapewne nie byłoby doszło nawet i do sekularyzacji Prus pod berłem Hohenzollernów. Nie byłoby doszło do unii czesko-węgierskiej, której narodziny doprowadziły z biegiem czasu do wyparcia naszych wpływów z basenu nadduńskiego. Nie byłoby się popuły nasze stosunki z Węgrami, a nawet z Moldawią. Ba, być może staliśmybyśmy mocniej nawet w sprawie Nowogrodu.

Nasza polityka zagraniczna — w sprawie Czech, Śląska i husytyzmu z tradycyjnego toru wykołejona, — straciła wskutek tego busołą i brnęła następnie z błędu w błąd.

Tyle w sprawie polityki Jagiellonów.

Muszę jeszcze odpowiedzieć na kilka innych kwestii, ubocznie przez p. Piszczkowskiego poruszonych.

1) P. Piszczkowski musiał doprawdy dość nieuważnie przeczytać moją książkę, jeśli przypisuje mi opowiadanie się po stronie polityki współpracy z protestantami niemieckimi i z Turcją. Zarówno ogólne założenia mojej książki, jak szereg wypowiedzi szczegółowych wyraźnie określają moje stanowisko w tej sprawie w sensie odwrotnym. Następnym po "epoce jagiellońskiej" dział mojej książki, który ukaże się na wstępie II tomu, nosić będzie tytuł "Epoka walki z reformacją i z Islamem". Czytelnicy I-go tomu zorientowali się już niewątpliwie, że ową bezpośrednią po jagiellońską epokę uważam za epokę nawrotu polityki polskiej na tory narodowej racji stanu.

Możliwość współpracy z Turcją i protestan-

tami niemieckimi rozstrząsałem w mej książce jako jedną z możliwości teoretycznych — i ustosunkowałem się do niej negatywnie.

2) Tak samo nieporozumieniem jest przypisywanie mi niechęci do polityki współpracy z Habsburgami. W sytuacji, jaka się wytworzyła po reformacji w Niemczech, a także po bitwie pod Mohaczem i objęciu przez Habsburgów znacznej części resztek spuścizny węgierskiej, Habsburgowie stali się naszym najnaturalniejszym sojusznikiem. Oburącz się podpisuję pod polityką współpracy z Habsburgami w drugiej połowie XVI w. oraz w w. XVII, — oczywiście pod warunkiem, by była to polityka współpracy, nie podporządkowania się.

Sytuacja wyglądała jednak inaczej za czasów Karola V. Uważam tego władcę za postać sympatyczną, nie sądzę jednak, by była możliwa do pogodzenia z polską racją stanu ewentualność jego totalnego zwycięstwa w Europie. Mimo, że osobiście raczej Niderlandczyk, niż Niemiec, był on niemieckim cesarzem. Gdyby zdobył on w Europie taką przewagę, na jaką się zanosilo, oznaczałoby to znalezienie się nasze na jego i na jego następców łasce i niełasce. Trzeba zresztą pamiętać, że w epoce bitwy pod Mohaczem (1526), bitwy pod Pawią (1525) i sekularyzacji Prus (1525) nie było jeszcze rzeczą jasną, że się naród niemiecki przez reformację przepołowi i pod berłem Karola nie zjednoczy. Reformacja niemiecka była dopiero w początkach. Porównajmy daty: wywieszenie tez Lutera w Wittenberdze (1517), edykt w Wormacji, w którym Karol V opowiedział się po stronie katolickiej (1521), zburzenie Rzymu przez podszyte luteranizmem wojska Karola (1527), augsburskie wyznanie wiary (1530), związek szmalkaldzki (1530), reformacja w Saksonii i Brandeburgii (1539). Wybór orientacji dla Polski w tej sytuacji istotnie był bardzo trudny.

Wzięta przez Karola V w trzy ognie (z Niemiec, Hiszpanii, Niderlandów) Francja była wówczas w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Gdyby runęła, znaleźlibyśmy się w Europie w straszliwym osamotnieniu. To też trudno w sytuacji takiej jak ta, która się wytworzyła po bitwie pod Pawią, nie życzyć powodzenia nawet tak niesympatycznej postaci, jaką był Franciszek I.

3) P. Piszczkowski pisze: "związki z Francją, których Giertych wydaje się być zwolennikiem". Kryje się tu znowu wielkie nieporozumienie.

Oczywiście, w perspektywie historycznej, zwolennikiem związków Polski z Francją, i to bardzo ścisłych, jestem. Geografia sprawia, że Francja jest naszym sojusznikiem najnaturalniejszym. Gdyby w drugiej połowie XVI w. była we Francji zwyciężyła Liga Katolicka (której przywódców, Henryka de Guise i jego brata kardynała, zamordował w r. 1581 nasz Henryk Walezy), gdyby Francja była się zbliżyła do Hiszpanii Filipa II i przez to wydołała się z dławiących kleszczy hiszpańsko-niemieckich, — byłaby ona wymarzoną dla nas sojusznikiem. Ale Francja taka, jaka w drugiej połowie XVI w. i wieku XVII istniała, Francja sprzymierzona z Turcją, Szwecją i Prusami i za głównego wroga uważająca Habsburgów, sojusznikiem naszym być nie mogła. To, że mieliśmy w owym czasie koterię francuską w naszych stosunkach wewnętrznych, było złowrogim faktem naszych dziejów. Koteria ta w praktyce działała przeważnie na rzecz Prus.

4) Nie zarzucam Jagiellonom, że nie walczyli o Śląsk z Habsburgami, ale że nie walczyli o Śląsk z husytami. Istotną koniunkturą dla

JERZY PIETRKIEWICZ

STATYCZNE: DZIŚ WZGLĘDNE

(Postscript do "Wierszy o dzieciństwie", 1935)

a

*Nieruchome topole przygważdżały horyzont
do wschodów i zachodów,
choć się stadami kuropatw podrywał
wiatr z miedz, jak gdyby za zasięg sluchu
wyfrunąć chciał.*

*Ale zwięzione źrenice światła
trzymały powiew na odległość echa,
hipnotyzując
sommabuliczne kontury drzew.*

*A w górze znieruchomiał śpiew:
skowronek
dotykał kopuły dzieciństwa,
pierzastym się stawał dzwonem,
skrzydlatą sygnaturką pogody.*

*O, statecznie statyczne granice
dziewięcioletniej swobody,
o ziemi płaska nawet w snach!
W zatokę nocy księżycy kotwice
spadały, sięgając dna
konkrety.*

*W kosmicznym systemie dzieciństwa
słońce wirowało wokół mnie.
Z dokładnością rytmu poety
pory roku ktoś nisał na podłużne dnie.*

b

*Ojciec umierający
pokazał kopernikowym gestem
niebo względne jak śmierć,
wyższe od śpiewu skowronka,
ruchome ponaglać.*

*Nie zastąpiły mi drogi topole, lecz poskarżyły się szalestem
na drugi horyzont, na trzeci,
na . . .
Zrozumiałem: kotwice księżycy nie dosięgały dna,
za duże były oka na każdej nocnej sieci,
żeby zatrzymać pewny półów dnia.*

*Mniejszy w perspektywie rozstępujących się horyzontów
dojrzałem
ku rozczarowanym odpowiedziom lat,
za swądem tłących się lontów*

*węszylem naboże śmierci
kolumb, makabryczny swat,
po smętarzach babrzący się smętek.*

*Za chwiejne były statki bez kompasu,
za chwiejne były porty bez przystani.
Trzeszczała żarzewiała oś globu pod kolumbowym okrętem,
gdy ster bruzdami wody wciąż cygał,
iż wie
bryzgiem jak bluznąć w kierunek — gdzie,
a jeśli tonąć — na którym dnie.*

*Dziś znów ta sama drzazga — nie do wyjęcia — boli:
pamięć statycznej granicy, sommabuliczne widma topoli.*

JERZY PIETRKIEWICZ

Oxford, 8 czerwca 1947 r.

odzyskania Śląska były czasy Kazimierza Jagiellończyka, i po części Jagielly. Nasze stosunki z Habsburgami w epoce późniejszej — to jest całkiem inna sprawa.

Muszę tu się przy okazji sprzeciwić pogładowi, że w sprawie Śląska "polityka owych

czasów nie może być mierzona dzisiejszymi kryteriami narodowymi". Wystarczy czytać Długosza, by się przekonać, jak dalece już wówczas myśleć kategoriami narodowymi umiano.

JĘDRZEJ GIERTYCH

UWAGI

NAD MOGIŁĄ W NEWARK

W takie dni jak ten, pogodnie i słonecznie, szale wojny powoli i ciężko zmieniały swe położenie. Co dnia, co kilka godzin, spadali na wagi zdarzeń młodzi ludzie, o których współczesny ich śmierci mąż stanu powie, że nigdy w historii tak małą ilością nie uratowali — wszystkiego, co było do uratowania. Przedziwny to obrót sprawy — owo zwycięstwo kilkuset w epoce uruchomionych do walki dziesiątków milionów.

Leżą ci wybrani na świadectwo prawdziwe w różnych szeregach cmentarza Newark — lotnicy polscy z *Battle of Britain* i jakże wielu mniejszych, a równie ofiarnych bitew powietrznych. W nich to przemawiała Polska do świata najgłębszą wiarą swego narodu, wiarą przechodzącą poza granice życia. Zbierali się ze wszystkich stron świata, szli i płynęli przez wszystkie granice, by jednak tą okrutną drogą wrócić do Polski. Byli karmi i umi. Stworzyli nie tylko siłę zbrojną, odbudowali porządek Rzeczypospolitej, przenieśli jej prawa i instytucje, jej idee i cele. Nie była to emigracja — była to Polska na obczyźnie, Polską ku której naród w Kraju wycętał słuch — czy idzie.

Po dwóch latach od zakończenia działań wojennych na wojskowy cmentarz lotników kieruje się znowu orszak żałobny, jak gdyby jeszcze jedno życie padało na szalę napiętych wydarzeń. Do żołnierzy Rzeczypospolitej podąża w Swą ostatnią podróż Prezydent Władysław Raczkiewicz, Głowa tego Państwa, które pierwsze stanęło do walki ratując przed panowaniem przemocy narody tej samej cywilizacji.

Gdyby się tak w świętej naiwności, w niewiedzy tego, co zaszło od czasów *Battle of Britain*, spytać przechodniów w Newark, kogo to chowają i dlaczego właśnie tu, — jakże skomplikowana musiałaby być odpowiedź. Podobna do tej, w której wczorajszy aliant usprawiedliwia się z obecności swych reprezentantów na tym pogrzebie; podobnie skomplikowana jak odpowiedź na notę, zapytującą jakim prawem w pogrzebie swego Prezydenta brali udział żołnierze polscy.

Nie pytamy. Wiemy wszystko. Nie dziwimy się, że w tym najskromniejszym kościółku, jaki sobie można w Anglii wyobrazić, patetyczną purpurą spływa z trumny sztandar Rzeczypospolitej. Tak trzeba właśnie. Odpowiada to czasom, w których cmentarz polowy lotników — gdzieś w Anglii — musi być kwaterą pośmiertną Głowy Państwa. Tak trzeba, gdy Państwo dotąd nie ma, gdy ciężko walczący naród wciąż czeka.

Za trumną idą władze Rzeczypospolitej i tłum ludzi. Cóż znaczy ta garstka wobec potęgi wszystkich, którzy cofnęli rękę pomocy? Wobec ogromnych sił ucisku? Chyba tyle samo, ile ofiara kilkuset z roku 1941, — roku próby duszy ludzkiej wobec nagromadzonej potęgi materii zniszczenia.

Nad trumną to samo słońce, obłoki, ta sama zielen wsi, która dla wszystkich Polaków stała się zbyt długim miejscem postoju. Kompania wojska, czy — jak się ono dziś nazywa — Korpusu Rozmieszczenia, prezentuje broń. Kompania z Brygady Spadochronowej, która nie spada — tak jak chciała — na Warszawę, którą los wojny "rozmieszczał" na polach Holandii. Ta broń, sprawnie, z doskonałą precyzją dobrego wojska prezentowana nad trumną Prezydenta, będzie także przedmiotem interpellacji międzynarodowej. Jest groźna nie dlatego, że taka skuteczna (bez amunicji), — ale dlatego, że jeszcze są ręce, które umieją ją trzymać.

A właśnie orkiestra przerywa ciszę, hymnem Zmarłym mówiąc o Polsce, która nie zginęła.

PLAN MARSHALLA

Mowa, wygłoszona 5 czerwca przez amerykańskiego Sekretarza Stanu Marshalla w Uniwersytecie Harwardzkim, stanowi nie tylko dalsze ogniwo w procesie kształtowania się nowej polityki Stanów Zjednoczonych, ale znaczeniem swym wybiega daleko poza wszystkie inne dotychczasowe posunięcia Waszyngtonu. O ile t.zw. doktryna Trumana z 12 marca przyrzekała pomoc wszystkim krajom zagrożonym infiltracją komunistyczną, a więc w istocie swjej była defensywna, o tyle plan Marshalla zawiera w sobie pozytywny program odbudowy Europy środkami ekonomicznymi.

Marshall w mowie swojej nie przedstawił szczegółowego planu europejskiego, ograniczył się jedynie do sformułowania jego zasadniczych założeń.

Trzy z nich są najważniejsze i warto je tu w skrócie powtórzyć:

1) Celem polityki amerykańskiej jest odbudowa normalnie funkcjonującego gospodarstwa światowego, ponieważ ono jedynie może stworzyć polityczne i społeczne warunki konieczne dla istnienia wolnych instytucji;

2) pomoc amerykańska nie może być udzielana w przyszłości poszczególnym krajom od wypadku do wypadku, w miarę rozwijających się kryzysów: jeśli nie wszystkie, to pewna ilość krajów europejskich powinna między sobą ustalić potrzeby i uzgodnić wspólne maksymalne wykorzystanie pomocy amerykańskiej;

3) rządy, które by usiłowały przeszkodzić odbudowie innych krajów, nie mogą oczekiwać pomocy ze strony Ameryki; ponad to rządy, partie polityczne oraz grupy, które będą usiłowały podtrzymywać nędzę ludzką celem wyciągnięcia z niej korzyści politycznych bądź dla innych celów, napotkają na opozycję Stanów Zjednoczonych.

Marshall w mowie swojej nie określił, które kraje europejskie mogą liczyć na pomoc amerykańską. Dopiero w tydzień później, zapytany o to na konferencji prasowej, oświadczył: "wszystkie na zachód od Azji".

Plan Marshalla, przerzucający inicjatywę na kraje europejskie, znalazł nader życzliwe echo w W. Brytanii oraz Francji, przy czym w jednym i drugim kraju nacisk położony został na szybkość. W wyniku podróży Bevina do Paryża zostało skierowane do Moskwy zapytanie, czy zechce uczestniczyć w opracowaniu wspólnego dla Europy planu. Rząd sowiecki, postawiony wobec dylematu współdziałania czy też wykluczenia z dalszych rokowań, wybrał alternatywę pierwszą. Nie ulega jednak wątpliwości, że na decyzję sowiecką wpłynęły całkowicie odmienne przesłanki. Polityce sowieckiej chodzić będzie w dalszym ciągu o zwłokę w uzgodnieniu charakteru i zakresu pomocy amerykańskiej. W odniesieniu zaś do państw Moskwie podporządkowanych Mołotow użyje zapewne wszystkich środków z dobrze znanego arsenału dyplomacji sowieckiej, żeby z pomocą amerykańską — jeśli się jej już unikać nie da — nie były związane żadne warunki ograniczające "suwerenność" narodową narzuconych reżimów komunistycznych.

Rzecz jednak w tym, że cele i metody polityki sowieckiej są dzisiaj aż nadto dobrze znane, o czym chociażby świadczy ostatnia debata zagraniczna w angielskiej Izbie Gmin. Poseł szkocki Boothby wyraził żal, że w ogóle wystosowano zaproszenie do Mołotowa, bo "jeśli odmówi, wywoła to tym bardziej złe wrażenie; jeśli przyjmie, z konieczności musi przeciwstawić się temu, co w jego pojęciu jest imperializmem dolarowym w Zachodniej Europie". Na to Bevin odpowiedział, że "nie przyłożył ręki do niczego, co by opóźniło odbudowę ekonomiczną Europy ze względów proceduralnych, bądź wniosków o odesłanie

do komisji, bądź jakichkolwiek innych parafernalii, ponieważ chodzi o rzecz zbyt wielką".

Niezależnie od takiego czy innego wyniku obecnych obrad nad odbudową Europy przy pomocy Stanów Zjednoczonych, — od tego, że na razie powstanie jedynie blok zachodnio-europejski (który bez niezależnej Polski i krajów sąsiednich z północy i południa na dłuższą metę utrzymać się nie może), można stwierdzić bez narażenia się na zarzut łatwego optymizmu, że Marshall otwiera okres, w którym będzie decydować siła. Obojętne, czy będzie to siła przemysłowa czy militarna, czy obie jednocześnie.

WOJNA IDEOLOGICZNA

Równoległe do wzrastającego zmagania się między dwoma światami — wschodnim i zachodnim — w płaszczyźnie ekonomicznej nastąpiła w ostatnich dniach intensyfikacja wojny ideologicznej. Wypadki na Węgrzech, gdzie znanymi metodami terroru mniejszość komunistyczna spowodowała ustąpienie z premiershipu przedstawiciela partii Drobnych Rolników, p. Ferenc Nagy, oraz w Bułgarii, gdzie aresztowano w gmachu parlamentu przywódcę opozycyjnej Partii Agrarnej, Nikołę Petkowa i odebrano mandat poselski 23 innym posłom z tej samej partii — posłużyły zachodnim mężom stanu oraz prasie do ponownego wyraźnego zdefiniowania zasadniczych różnic między totalizmem a postępiami cywilizacji zachodniej.

W debacie zagranicznej w Izbie Gmin 19 czerwca sekretarz spraw zagranicznych Bevin w związku ze sprawą Węgier oświadczył m.i.: "Ubolewałbym nad tym, gdyby miał nastąpić konflikt między ideologiami; jeżeli zostanie on nam narzucony, będziemy musieli go przyjąć i dostosować się do rzeczywistości. Nie sądzę, by na dłuższą metę świat zachodni na tym ucierpiał. Tytu dyktatorów próbowało zgnieść wolność, ale w końcu przegrali. Jeśli by ktoś pragnął zdławić wolność słowa i inne, nie dające się zdefiniować potrzeby, które składają się na duszę ludzką, znowu musi przegrać".

W dwa dni później premier angielski Attlee w przemówieniu wygłoszonym w Barnsley powiedział:

"Wolność słowa, wolność sumienia i wolność osobista są prawem każdej jednostki, czy nią jest kapitalista czy robotnik, konserwatyista, liberał czy socjalista.

"Nie mam żadnej wątpliwości, że w szeregu krajów Wschodniej Europy prawa ludzkie nie istnieją i tzw. rządy demokratyczne są farsą".

Najdalej we wnioskach praktycznych idzie Foster Dulles, główny doradca Partii Republikańskiej w Ameryce i towarzysz Marshalla w czasie ostatniej konferencji moskiewskiej. W przemówieniu, wygłoszonym 18 czerwca w Uniwersytecie Północno-Zachodnim w Ewanston, powiedział:

"Problemem moralnym jest przeciwstawność państwa wolnego wobec państwa policyjnego. Państwem policyjnym jest państwo, gdzie garstka ludzi, dysponująca policją, ustala ustrój polityczny, społeczny i gospodarczy, a następnie przy pomocy policji ustrój ten wprowadza w życie, wylapując i niszcząc wszystkich, którzy nie dostosowują się do ich planów. Wolne zaś państwo jest to, w którym policja jest używana do ochrony praw jednostki do myślenia, wierzenia i przekonywania zgodnie z tym, co dyktuje jej umysł i sumienie... Usiłowania przywódców sowieckich zmierzające do rozszerzenia państw policyjnych po całym świecie muszą prowadzić do gwałtownych wybuchów, a nawet wojny".

W konkluzji Dulles stwierdza, że nie może być kompromisu, jeśli chodzi o zagadnienie państwa policyjnego przeciwko państwu wolnemu, i proponuje, by problem ten przekazał

Zgromadzeniu Narodów Zjednoczonych. Ono powinno opowiedzieć się w tej sprawie.

Być może, a nawet jest rzeczą pewną, że noty dyplomatyczne wystosowane przez St. Zjednoczone i W. Brytanię do Moskwy i jej satelitów w Budapeszcie i Sofii nie odniosą skutków. Niemniej reakcja oficjalna i opinia publicznej świata zachodniego przeciwko pogwałceniu podstawowych zasad samostanowienia narodów i wolności jednostki ma swoje cenne znaczenie. W wypadku Polski, kraju sojuszniczego, nieraz byliśmy świadkami poświęcenia głoszonych oficjalnie zasad dla chwilowych korzyści politycznych. Co gorsza, nieraz używano kłamstwa bądź przekręcano fakty, żeby ukryć prawdę przed opinią publiczną. Wierzymy, że ostatnie zmiany w tonie not dyplomatycznych i wypowiedziach polityków zachodnich wyływają nie tylko z dobrze zrozumianego interesu państw zachodnich, ale są wynikiem głębszego zrozumienia podstawowych zasad naszej cywilizacji.

"WEEKLY REVIEW"

Dnia 12 czerwca r.b. ukazał się ostatni pod dotychczasową redakcją i w dotychczasowym typie publicystycznym numer tygodnika *The Weekly Review*, wydawanego przez grono przyjaciół ideowych G.K. Chestertona.

Pismo to było bezpośrednią kontynuacją trzech tygodników, redagowanych przez Chestertona i jego brata Cecila oraz przez Hilarego Belloc'a. Pierwszy z nich nosił nazwę *Eye Witness* ("Świadek Naoczny") i ukazywał się od czerwca 1911 r. do października 1912 r., najpierw pod redakcją Belloc'a, a później Cecila Chestertona. Po rocznym z góry istnieniu pismo upadło z powodu trudności finansowych, wskrzeszone jednak zostało w listopadzie 1912 r. i pod nazwą *New Witness* ("Nowy Świadek") ukazywało się przez lat jedenaście, do maja 1923 r., redagowane początkowo przez Cecila Chestertona; po jego odejściu do wojska w r. 1916 kierownictwo redakcji *New Witness* objął brat jego Gilbert Keith (w skrócie zwany G.K.). W trzeciej fazie swego istnienia tygodnik ukazywał się od r. 1925 aż do śmierci wielkiego pisarza w r. 1936, już wyraźnie jako jego organ pod nazwą *G.K.'s Weekly*. Pismo przemianowane zostało następnie na *The Weekly Review* i pod tym tytułem ukazywało się nieprzerwanie przez ostatnich lat jedenaście pod redakcją pisarza katolickiego Reginalda Jebba (zięcia Belloc'a).

Pisarze i działacze, którzy skupili się dokoła tygodnika, stanowili niewątpliwie jedno z najbardziej wartościowych pod względem intelektualnym i moralnym środowisk w Anglii. Postawa pisma w ciągu trzydziestu kilku lat jego istnienia było zarysowana jasno i wyraźnie. Broniło ono zasad chrześcijańskich w życiu publicznym i prywatnym z wyraźną sympatią dla katolickiego typu kultury. Zwalczało zarówno przerosty kapitalizmu i plutokrację jak tendencje socjalistyczne i komunistyczne; popierało ideę t.zw. dystrybucyzmu, t.j. upowszechnienia własności. Wskazywało na niebezpieczeństwo zdławienia wolności obywatelskich przez omnipotencję państwa; demaskowało i piętnowało korupcję w życiu publicznym.

W dziedzinie międzynarodowej tygodnik we wszystkich swych fazach ostrzegał przed niebezpieczeństwem imperializmu zarówno prusko-niemieckiego, jak rosyjskiego. Począwszy od Pierwszej Wojny Światowej połączone to było z podkreśleniem roli Polski, jako jednego z głównych czynników równowagi europejskiej nie tylko w dziedzinie politycznej, ale i moralno-cywilizacyjnej.

W ciągu Drugiej Wojny Światowej i w smutnym okresie ostatnim *Weekly Review* stała się niezmordowaną orędowniczką sprawy polskiej; żadne z pism angielskich — poza

jednym *Tabletem* — zagadnieniom naszym tyle nie poświęcało miejsca i życzliwej uwagi. Zasługa to przede wszystkim jego redaktorów: R. Jebba i H.D. Peplera.

Dziś opuszczają oni, zmuszeni okolicznościami, placówkę, w którą włożyli tyle entuzjazmu i pracy. W artykule poegnalnym zapewniają jednak czytelników, że nie ustana w walce o cele, które pismo od samych swych początków reprezentowało.

15 MILIONÓW KSIĄŻEK ZNISZCZONYCH

Wedle zeszlorocznych obliczeń polskiego Związku Bibliotekarzy straty bibliotek polskich w ciągu wojny wynoszą około 15 milionów tomów. Stanowi to prawie 72% ogólnego stanu posiadania tych bibliotek; z pożogi Drugiej Wojny Światowej ocalało niewiele ponad jedną czwartą, tj. około sześciu milionów tomów.

Cyfra ta rzuca szczególnie przerażające światło na straty, poniesione przez kulturę polską. Zniszczenia te w części tylko spowodowane zostały działaniami wojennymi; w znacznej większości są one wynikiem niszczycielskiej działalności, prowadzonej systematycznie i na zimno przez szefów państwa niemieckiego w okresie okupacji. Miliony tomów przeznaczono na przemiał, miliony innych wywiezione zostały do Niemiec i tam w znacznej mierze przepadły bez śladu. W okresie Powstania Warszawskiego szczególnym obiektem bombardowań i rozmyślnych podpałów niemieckich były budynki zabytkowe, muzea i biblioteki. Największe wszakże spustoszenia dokonane zostały przez Niemców już po Powstaniu, kiedy specjalne "oddziały demoluujące" niszczyły ulice po ulicy, wysadzając w powietrze liczne jeszcze ocalałe gmachy publiczne i kamienice. Związek Bibliotekarzy oblicza, że w tym właśnie okresie spłonęło w Warszawie blisko 10 milionów tomów, wchodzących w skład księgozbiorów publicznych i prywatnych. Katastrofa powiększona jeszcze została przez okoliczność, że w przewidywaniu zbliżającego się końca wojny do Warszawy zwiczone zostały na krótko przed wybuchem Powstania liczne zbiory biblioteczne z mniejszych miast i z dworów wiejskich całego "General-Government". Właściciele ich uczynili to w przekonaniu, że w stolicy zbiory te będą bezpieczniejsze; niestety było wręcz odwrotnie.

Już w czasie pierwszego oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 r. spłonął szereg cennych księgozbiorów, m.i. biblioteki Zamoyskich i Przeździeckich, zawierające wiele starych druków i dokumentów polskich, zbiory rapperswilskie z wszystkimi materiałami, dotyczącymi działalności emigracji polskiej w XIX stuleciu, Centralna Biblioteka Wojskowa i wiele innych. We wrześniu 1944 r. pastwą ognia padły, podpalone przez Niemców, najcenniejsze działy Biblioteki Narodowej, Biblioteki Ordynacji Krasińskich i Biblioteki Uniwersyteckiej, znajdujące się w gmachu Biblioteki Ordynacji Krasińskich. Zagładzie uległ m.i. słynny Psalterz Floriański, jeden z najstarszych pomników języka polskiego. W styczniu 1945 r., na dwa dni przed opuszczeniem przez siebie Warszawy, Niemcy podpalili zbiory Biblioteki Publicznej; z posiadanych przez nią przed wojną około pół miliona tomów ocalało zaledwie 171 tysięcy. W płomieniach przepadły również tak liczne w Warszawie zbiory prywatne, obejmujące nie tylko książki ale i rękopisy, mapy, sztychy i obrazy.

Z innych miast najdotkliwsze straty poniósł Poznań, gdzie w czasie oblężenia w początkach 1945 r. spaliło się całkowicie Archiwum Państwowe na Górze Przemysław, stanowiąc jeden z najbogatszych w Polsce zbiorów nie tylko dokumentów różnego rodzaju, ale

i starych książek. Ze wspaniałej Biblioteki Raczyńskich zostały tylko szczątki; zniszczeniu uległa również biblioteka poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Spośród licznych zbiorów bibliotecznych wywiezionych przez Niemców tylko część do tej pory udało się odzyskać; duża część przepadła, jak się zdaje, bezpowrotnie. Jak stwierdza St. M. Sawicka na łamach poznańskiego *Przeglądu Zachodniego* (nr. 2 r.ub.) wyjątkami są wypadki, gdy skrzynie z książkami odnaleziono w stanie nie naruszonym. Na ogół polskie ekipy rewidykacyjne czy też poszukujące wywiezionych zbiorów na terenie Ziemi Odzyskanych zastawały zbiory te splądrowane, w rozsypane, nieraz w stanie silnego zniszczenia. "Były wypadki, gdy znajdowano cenne książki, rozsypane po ogrodzie dla "wybrukowania" błotnistych ścieżek, utopione i zbutwiałe w gnojówkach (Goerbitsch), rozrzucone po zrujnowanym pałacu, w którym urzędowało stajnię (maj. Chrosty) itp."

Niezwykłym wręcz przykładem teutońskiej furii niszczenia i grabienia polskiego mienia kulturalnego jest los księgozbioru Biblioteki Polskiej w Paryżu. Po zajęciu Paryża Hitler osobiście ofiarował zbiory Biblioteki Rosenbergowi, który wywiózł je do Niemiec. Niedawno znaleziono część tego księgozbioru w Budziszynie na Łużycach; 118 skrzyń przewieziono na razie do Biblioteki Narodowej w Warszawie.

Wśród zbiorów, posłanych przez Niemców na przemiał, znalazła się spora część Biblioteki Sejmu i Senatu, w szczególności cenne komplety czasopism i diariuszy, dotyczących życia parlamentarnego różnych krajów, za okres 19 lat.

Gdy się jeszcze uwzględni los polskich księgozbiorów we Lwowie, Wilnie i innych miastach Ziemi Wschodnich przysłowie *habent sua fata libelli* znajdzie potwierdzenie w postaci, której jeszcze piętnaście lat temu nikt prawie w świecie cywilizowanym nie mógłby sobie wyobrazić.

POD RZĄDAMI BIERUTA I TOWARZYSZY

Polscy bibliotekarze, konserwatorzy i kustoszowie muzeów robili od początku co mogli, by odzyskać, ocalić i zabezpieczyć to, co uszło zniszczeniu. Równocześnie jednak zbrodnicze niedbalstwo administracji lubelskiej, a potem warszawskiej, zajętej wyłącznie tępieniem niezależnych ugrupowań i czynników polskich, spowodowało, że już po ustaniu walk i odejściu Niemców dokonane zostały w naszym dorobku kulturalnym dalsze, poważne szczyby.

W okresie przeprowadzania t.zw. reformy rolnej większość dworów wiejskich uległa dewastacji, a znajdujące się w nich księgozbiory, obrazy i stare meble, często wielkiej wartości, zostały bądź poniszczone, bądź "rozszabrowane" przez różne kryminalne elementy, w szczególności członków komunistycznych "milicji", wówczas właśnie utworzonych. Fakt tych zniszczeń i rabunków potwierdzony został przez PPR-owego reportażystę F. Gila w krakowskim *Odrodzeniu* (nr. 11 z dnia 17 marca 1946 r.).

Z powodu zupełnego braku jakiegos nadzoru całkowicie "rozszabrowany" został zamek w Niedzicy w Pieninach, jeden z najpiękniejszych zamków w Polsce, zawierający niezwykle cenny księgozbiór i muzeum. Powyrywano z niego nie tylko okna, ale i futryny, ogołocono ściany, rozebrano piękne kaflowe piece. Jak stwierdza prasa warszawska, jeszcze w r. 1946 po podłogach starożytnych sal wałwały się stosy książek, dokumentów, listów itd.

Takie same, liczne fakty zaszły na Ziemiach Odzyskanych. Tak np. w roku ubiegłym krakowski reżimowy *Przekrój* (w nr. 44) stwierdził, że muzeum miasta Szczecina uległo całkowitej dewastacji i że "przygodni

zbieracze ciągle jeszcze 'zabezpieczają' książki dla prywatnych bibliotek i meble dla prywatnych pieców". Dewastacji i "rozszabrowaniu", już w okresie po wprowadzeniu "normalnej" administracji, doczekał się szereg zamków na Dolnym Śląsku, m.i. zabytkowy zamek w Grodkowie.

W stanie zupełnego zaniedbania, jak stwierdza prasa krajowa, znajdują się parki narodowe, które ulegają szybkiemu spustoszeniu. Na terenie parku w Gołuchowie w Wielkopolsce okoliczni mieszkańcy wytrzebili dużą ilość cyprysów, tuj i dębów korkowych. W rezerwacie Bukowa Góra zniszczono zupełnie wielkie skupisko kilkusetletnich jodeł. Wyrąbano dwuchsetletnie buki w pobliżu wsi Florianka — itd. itd.

W OBLICZU ZNISZCZEŃ

Nie wolno tracić nadziei, że wysiłki i poświęcenie obrońców polskich dóbr kulturalnych zdoła w końcu pohamować procesy dalszego ich niszczenia. Co się jednak stało, tego już odrobić się nie da. Nasze mienie kulturalne uległo katastrofie, największej od czasów potopu szwedzkiego.

Straty poniesione wyrównać może tylko wielka, oryginalna twórczość polska we wszystkich dziedzinach życia umysłowego, artystycznego, obyczajowego. Czy jednak w obecnych warunkach skrupowania wolności i systematycznego "urabiania" społeczeństwa wedle znanych wzorów — o twórczości takiej w ogóle może być mowa? Niestety, bardzo w to wątpić należy. Tylko przywrócenie Polsce pełnej niepodległości stworzyć mogłoby po temu podatne podłoże i warunki.

SPRAWA ZBOROWSKIEGO

Sprawa Stanisława Zborowskiego, która przez z górą trzy tygodnie zajmowała czołowe miejsca w wielkiej części prasy brytyjskiej, jest przejawem dotkliwych strat, jakie kultura polska poniosła w innej dziedzinie: w dziedzinie poderwania zasad moralnych i prawnych u części młodego pokolenia.

Gdy się weźmie pod uwagę, że Zborowski już jako 15-letni chłopak, deportowany do Rosji, przesiedział długie miesiące w "łagrze" w towarzystwie zwykłych kryminalistów i bandytów, że w okresie kształtowania swych pojęć etycznych pozbawiony był oddziaływania normalnego, zdrowego środowiska rodzinnego i społecznego, że później już po przejściu tego demoralizującego okresu jako żołnierz znalazł się w Europie z jej obecną atmosferą rozprzężenia prawnego i obyczajowego, "blackmarketu" i szwindłów wszelkiego rodzaju — i gdy się równocześnie zważy, że w identycznych warunkach znalazły się dziesiątki i setki tysięcy młodych Polaków, człowiek raczej skłonny jest się dziwić, że takich Zborowskich nie znalazło się dużo więcej. Fakt, że trzon naszej emigracji wojskowej i cywilnej zachował zdrowie moralne, jest (choć z tego wielu współczesnych hyper-realistów nie zdaje sobie sprawy) w głównej mierze zasługą polskiej tradycji religijnej i narodowej, a nawet owego "romantyzmu" polskiego, skąd inąd w pewnym zakresie słusznie krytykowanego.

Niemniej musimy sobie trzeźwo powiedzieć, że fakt istnienia wśród Polaków — zarówno wśród polskich *Displaced Persons* w Niemczech, jak wśród żołnierzy polskich i osób cywilnych w Wielkiej Brytanii, — pewnej ilości jednostek, naruszających normy kodeksu karnego i zasady cywilizowanego współżycia społecznego, wyrządził już i wyrządza nam w dalszym ciągu znaczne szkody. Jeśli jako emigracja walcząca o niepodległość kraju pragniemy stworzyć sobie odpowiednie podstawy do działania na opinię Zachodu, jeśli dążymy do tego, by Polacy w Wielkiej Brytanii i innych krajach zapewnili sobie, w harmonii z miejscowymi społeczeństwami, środki do życia, — musimy twardo i nieubła-

ganie walczyć o odpowiedni poziom moralny środowiska polskiego i piętnować wszystkie objawy rozkładu. Rzecz jasna, że nie uda się zapobiec, by w środowisku tym znalazły się jednostki wykołone lub wręcz parszywe owce. Dążyć jednak należy do tego, by liczba ich była jak najmniejsza — i w tym między innymi leży wielka rola organizacji społecznych uchodźstwa polskiego, rola, którą one, jak dotąd, nie bardzo sobie uświadamiają.

Oczywiście nie ludźmi się, by nawet przy największym wysiłku z naszej strony udało się zapobiec ponawiającym się od czasu do czasu nagankom dziennikarskim. W związku ze sprawą Zborowskiego przeżyliśmy jeszcze jedno rozczarowanie w stosunku do dużej części prasy Zachodu, jej obiektywizmu i sumiennosci. Okazało się jeszcze raz, jak rozstrzygającą często rolę w informowaniu czytelnika odgrywają bądź ukryte względy i sugestie polityczne, bądź brutalne polowanie na sensację, nie liczące się zupełnie z krzywdą niedawnych jeszcze sojuszników i towarzyszy broni. Te same pisma, które albo nie podały w ogóle wiadomości o zgonie ś.p. Prezydenta Raczkiewicza, albo też zbyły ją paru wierszami petitu, wciśniętymi gdzieś w środek numeru, które poprzednio z przedziwną nonszalancją pomijały polski wkład zbrojny do sprawy sprzymierzonych, teraz potrafiły przez parę tygodni z rzędu dzień w dzień poświęcać sprawie Zborowskiego olbrzymie nagłówki na czołowych kolumnach, w których słowa *Pole*, *Polish gunman*, *Polish gang*, *Polish spoil* itd. powtarzały się z niewzruszalną stałością. Zarazem w niektórych doniesieniach i komentarzach pojawiły się uderzająco przesadne i generalizujące zarzuty przeciw żołnierzom polskim. Nie wszystkie, na szczęście, pisma postawę taką zajęły; niektóre z nich w specjalnych artykułach, omawiających sprawę Zborowskiego, wykazały duże zrozumienie dla podłoża, na którym ona wyrosła.

Ogólnie zresztą sądzimy, że społeczeństwo brytyjskie w szerokiach swych masach ma znacznie więcej poczucia obiektywności i słuszności, niż niektórzy dziennikarze. I dlatego decydujące znaczenie będzie miała w przyszłości, jak i dotąd, postawa i zachowanie się samych Polaków.

ZE ZJAZDU KOMBATANTÓW

W dniach 17-21 czerwca br. odbył się w Londynie drugi Walny Zjazd Delegatów Stowarzyszenia Polskich Kombatantów.

Jest rzeczą oczywistą, że istnienie organizacji, skupiającej w ramach koleżeńskosamopomocowych tych, co walczyli w szeregach P.S.Z., a obecnie przechodzą do życia cywilnego, jest całkowicie uzasadnione. Tym bardziej zaś jest ono uzasadnione wówczas gdy żołnierz polski wśród obcych musi zmieniać mundur na ubranie cywilne i chodzi o to, by nie zgubił się w obcym mu otoczeniu, by łączył swe wysiłki z wysiłkami innych Polaków, wspomagając w trudnej

pracy legalne władze Rzeczypospolitej.

Głosy wielu pośród delegatów dały wyraz zrozumienia tej roli S.P.K., dały też wyraz trosce o zdrowy rozwój organizacji tak w krytyce ustępujących władz, jak i w formie zgłoszenia szeregu, uzasadnianych następnie w dyskusji, wniosków: ideowych, organizacyjno-statutowych, gospodarczych i innych.

Były to dodatnie cechy Zjazdu.

Obrazy obfitowały w momenty gorące. Ścierały się dwa główne kierunki: skłócony, jeżeli chodziło o władzę, ale zgodny wobec przeciwników, kierunek *przerostu* form organizacyjnych i centralizacji władzy u góry, z kierunkiem, zmierzającym, do ograniczenia tej władzy na rzecz członków Stowarzyszenia, poświęcenia większej uwagi sprawom samopomocowym, zastąpienia frazeologii sprezywaną treścią ideową itp.

Niestety na dokładne opracowanie tych istotnych dla Stowarzyszenia spraw nie było wiele czasu. Zjazd przeciążony został lokalnymi sprawami z terenu W. Brytanii, a to wskutek niezwołania przed tym przez władze S.P.K. zjazdu Oddziału W. Brytanii, gdzie dotąd nie było jeszcze wyborów i gdzie władze są mianowane z góry. Ponad to materiały na zjazd ogólny (projekt nowego statutu, preliminarz budżetowy, zgłoszone wnioski itp.), rozdane zostały zbyt późno, dopiero na zjeździe, wskutek czego nie było czasu na ich przestudiowanie. Z uwagi na powyższe okoliczności zjazd trwał, zamiast trzech, pięć dni; i tak ważna komisja jak organizacyjno-statutowa musiała pracować jedno popołudnie i całą noc, traktując sprawy pośpiechu i powierzchownie, a komisja budżetowa odrzuciła projekt budżetu, nie mając innego wyjścia. Część delegatów nie mogąc dłużej pozostać (niektórych wprost odwołano) musiała wyjechać. W momencie głosowania sala była już znacznie przerzedzona. Pozostali większością głosów wybrali nowe władze, posługując się rozdzianymi drukami z jednostronnie dobranym imiennym składem tych władz. Wniosek jednego z delegatów o danie możliwości delegatowi szerszego wyboru kandydatów nie został poddany pod głosowanie, mimo zgodności ze statutem.

Te fakty, w połączeniu z intensywną akcją kuluarową, żywo przypominały niektóre metody z przeszłości, a jeżeli dodać do tego ograniczenia w swobodzie zgłaszania wniosków i kandydatur, nałożone przez ustępującą Radę, dopuszczenie do głosowania w komisjach członków teje, wprowadzenie trzyletniej kadencji władz Stowarzyszenia (dla połowy Rady — sześciolletniej), usunięcie od udziału w Walnych Zjazdach delegatów kół, a wprowadzenie na ich miejsce delegatów ogniwa pośredniego: oddziałów itp. — będziemy mieli ujemną stronę Zjazdu. Może to spowodować dalsze pogłębienie się kryzysu zaufania, o którym tyle na Zjeździe mówiono. Można wybrać wybory, ale przegrać sprawę.

Ani milczenie ani entuzjastyczne notatki nie zaradzą, przeciwnie, mogą tylko zaszkodzić.

Wkrótce na półkach księgarskich wszystkich krajów świata ukaże się
ROZNIK INFORMACYJNY DLA POLAKÓW ZA GRANICĄ
na rok 1947

obejmujący następujące publikacje:

Informator Polonii Zagranicznej,
Książka Adresowa Polaków na obczyźnie,
Katalog Prasy Polskiej poza Krajem.

Celem tego wydawnictwa jest dostarczenie Polakom, gdziekolwiek się oni znajdują, rzetelnych i dokładnych informacji o życiu organizacyjnym Polonii we wszystkich krajach, o sprawach kulturalnych i gospodarczych, oraz ułatwianie nawiązywania kontaktów zawodowych i handlowych.

Leży w interesie każdego dbałego o swe sprawy Polaka, aby korzystał z usług tego wydawnictwa. Dla stowarzyszeń i organizacji polskich wydawnictwo to stanie się niezbędnym *vade mecum*, a dla przedsiębiorstw należących do Polaków lub działających wśród Polonii — bezcenną kopalnią adresów.

KULTURA I ŻYCIE

Album muzyczny — Malarze na uboczu — Pieśni pompejańskie — Szymanowski w kontekście europejskim — Cytat dla prowincjuszy

Słynne koncerty letnie w *Albert Hallu* w Londynie (*Henry Wood Promenade Concerts*) będą mieć w bieżącym, to znaczy 53-cim sezonie tak samo charakter albumu orkiestralnych arcydzieł. Pierwszy koncert odbędzie się 19 lipca, ostatni — 13 września. Trzy orkiestry wezmą w nich udział: *BBC Symphony Orchestra, London Philharmonic Orchestra, London Symphony Orchestra*. Dyrygują: Sir Adrian Boult, Basil Cameron, dr. Malcolm Sargent.

W ogłoszonym przed kilku dniami programie koncertów (cena 6d. — do nabycia w *Albert Hallu* i niektórych księgarniach) znajdujemy interesujący wstęp, który tłumaczy sens kulturalny tej tradycyjnej imprezy letniej. To nic, że w programie spotykamy utwory typowe, grane już tylokrrotnie podczas ubiegłych sezonów, prowadzonych przez wielkiego propagatora muzyki Henry Wooda; właśnie ta typowość wyboru posiada wybitne znaczenie wychowawcze. Chodzi o nauczanie jak najszerzych mas publiczności słuchania klasyków muzycznych, chodzi o oswojenie ich z istotnymi elementami tradycji muzycznej naszej cywilizacji.

Na wstępie do programu tegorocznych *Promenade Concerts* czytamy taką na przykład uwagę: "*The most ardent concert-goer may explore a whole London winter season of concerts, and still remain ignorant of more than half of the accepted masterpieces of orchestral literature.*"

Popularność tych koncertów jest ogromna; tak ogromna, że bilety na cały sezon można otrzymać jedynie systemem balotowym. Poza tym, kto nie ma szczęścia, skazany jest na czekanie w kolejce przed *Albert Hallem*. Przedprzedaż biletów już się zaczyna.

Malarze polscy są mniej znani w środowisku emigracyjnym niż literaci — z wielką szkodą dla środowiska emigracyjnego, a nie dla malarzy, którzy wolą pracować na uboczu.

Na Hampstead żyje od kilku lat jeden z najwybitniejszych artystów polskich ostatniej doby, Z. Ruszkowski. Żonaty z Angielką Ruszkowski dokonał arcydzieła lingwistycznego, wychowując dwoje swych dzieci po polsku. Pięcioletnia Anna i trzyletni Krzysztof mówią równie dobrze po polsku, jak po angielsku. Frazesowiczom patriotyzmu, którzy przez zwykłe lenistwo pozwalają na wynaradawianie swoich dzieci (a takich jest, niestety, wielu) trzeba dać malarza Ruszkowskiego za przykład.

Ten wybitny artysta odgródzony jest od polskiego komentatora sztuki wskutek braku polskich wydawnictw plastycznych. Trawimy od lat nudną makulaturę publicystyczną, nie troszcząc się bynajmniej o los naszej plastyki, a tym bardziej muzyki.

W obozie akademickim pod Sudbury opiekuje się gronem młodych plastyków inny artysta polski Szyszko Bohusz. W mądrej izolacji rozwiązuje ten dojrzały malarz problemy techniczne swej sztuki. W takiej samej izolacji pracują awangardowi pisarze polscy. Młody poeta Bogumił Andrzejewski kończy w tym roku studia filologiczne na uniwersytecie oxfordzkim.

Sumiennność i uczciwość artystyczna zawsze ustępuje reklamie i kadzidłanej atmosferze niedouczonej amatorów.

Interesującym tomem wierszy są *Pieśni Pompejańskie* Mariana Pankowskiego, wydane

w Brukseli w 1946 r. Autor nieśmiało jeszcze używa nowoczesnych środków formalnych, choć w utworach krótkich, jak *Wieczór Sanocki, Nad potokiem* i *Kasztan* (najlepszy w zbiorze), czystość tonu lirycznego została osiągnięta właśnie dzięki konstrukcji metaforycznej. W wierszach dłuższych (*Auschwitz*) dużo dziennikarskich rekwizytów i niepotrzebnych przymiotników. Niektóre zwroty w *Pieśniach* wyraźnie zapożyczone. Ale jako całość tom wróży nadejście pełnej poezji.

Krytyk polski, szczególnie w dobie obecnej, powinien oceniać nasz dorobek kulturalny na tle europejskim. Bez uwzględnienia tego tła łatwo popaść w przesadę, przeceniając albo też nie doceniając własny dorobek.

W dziesiątą rocznicę śmierci wielkiego kompozytora Stefan Kisielewski, publicysta, a muzyk z wykształcenia, ogłosił zwarty essay o twórczości Karola Szymanowskiego (1883-1937) w numerze kwietniowym *Twórczości* (zeszyt 4, rok trzeci). Cytujemy ciekawe sformułowanie Kisielewskiego:

"Sam wypełnić miał lukę w ewolucji muzycznej polskiego stylu po Chopinie, sam tworzyć zręby nowej techniki, która znowu mogłaby sprawić, że głos muzyki polskiej — poza Chopinem w Europie niemal niezauważonej — zabrzmiałby jednak słyszalnym, mocnym zrozumiałym a mimo to własnym tonem w europejskim koncercie. O Chopinie powiedziano, że "podnosił ludowe do ludzkości"; podnieść polskość do europejskości — oto trud, który postanowił podjąć Szymanowski. W pracy tej nie opierał się na żadnej tradycji, nie miał żadnej pomocy — krzepić go mogła tylko twórczość Karłowicza — poza tym był samoty. Oto niekorzystne, ciężkie, arcytrudne warunki debiutu kompozytorskiego. Sprawily one, że Szymanowski musiał w twórczości swojej dać skrót, ekstrakt niejako ewolucji muzyki europejskiej poprzedzającego go pięćdziesięciolecia. Fakt ten był ujemnym *handicapem* jego artystycznego startu; sądzę, że gdyby artysta tej miary trafił na odpowiedniejsze, bogatsze i sprzyjające warunki, gdyby miał od razu bazę w postaci materiału technicznego przygotowanego przez poprzedników — znacznie prędzej doszedłby do własnego stylu i znacznie więcej pozostawiłby dzieł pełnowartościowych. Zjawisko to zresztą w sztuce polskiej nie nowe; brak zdrowej, jednolitej tradycji kulturalnej, ciągłe kataklizmy, okresy pustki i marazmu przerywające linię artystycznej ewolucji sprawily, że wielcy nasi twórcy musieli siedmiomilowymi skokami doganiać przemiany dokonywane się w Europie".

Jak wiele artykułów, publikowanych w prasie krajowej, essay Kisielewskiego jest nazbyt szkieletowy, t.zn. daje szerokie ramy argumentu, ale nie wypełnia ich dowodami. Jedno za to uderza w cytowanym fragmencie: śmiałość publicystycznej wypowiedzi, oraz świadomość tragizmu cywilizacji polskiej w jej wiekowym rozwoju. Sprawa Szymanowskiego nie jest bowiem odosobniona. Dobrze się stało, że muzykolog nie zachłysnął się zachwytem, ani też nie popadł w *drugą krańcowość polską* — patriotyczne samobiczowanie.

W naszych kronikach straramy się — w miarę możliwości i miejsca — o ustawianie problemów polskich w kontekście kultury europejskiej. Uważamy to za obowiązek naszego pisma, wychodzącego przecież poza

granicami Polski. Choć ten cel nie u wszystkich spotyka się z właściwym zrozumieniem, znajdujemy od czasu do czasu niespodziewanych sojuszników. Jeden z nich podsunął nam swoją myśl, pięknie i trafnie wyrażoną:

"Zważając przez lat kilkanaście stan literatury naszej spostrzeżyliśmy w niej znaczny jeden niedostatek. To jest niedostatek literatury obcej..."

"... nikt dotąd nie znalazł się, co by nam oznajmił, co gdzie piszą, czym się bawią uczeni różnych krajów, jaki jest stan literatury europejskiej, duch, który się w niej wyjawia i rodzaj nauk, który nad innymi górę bierze. Postanowiliśmy tedy w tym piśmie uratować drogę polskim pisarzom, wystawiając obraz literatury obcej".

Tak pisał we wstępie do swoich *Zabaw obywatelskich* niedoceniony Polak o europejskiej świadomości, *Piotr Świtkowski*. Data: 1792 rok! Ten niestrudzony wydawca pism pożytecznych walczył z zaśniedziałym oporem prowincjonalizmu polskiego, który jest — zaryzykujemy to twierdzenie — piętą achillesową naszej cywilizacji. Świtkowski pisał w swoim *Magazynie Warszawskim Pięknych Nauk* (1784) o ówczesnych nowinkach literackich i naukowych, informował rodzimych zaścianek o wydarzeniach zagranicznych. On to pierwszy omawia Swednborga; on, niczym drugi Lessing, opowiada się przeciw hegemonii francuskiej w kulturze, a za kultem Szekspira; on to wreszcie pisze o Miltonie i Fieldingu, nie mówiąc już o informacjach Świtkowskiego, dotyczących piśmiennictwa niemieckiego. Na rok przed śmiercią (1793) ogłasza w *Zabawach* essay o *Stanie niniejszym literatury angielskiej* (m.i. omawia Sheridaną i Gibbona). Zasługi Świtkowskiego były długo przemilczane. Na szczęście po pierwszym wojnie światowej znalazł się doktorant, który pod pieczę Chrzczanowskiego rewindykował wydawcę *Magazynu Warszawskiego* dla kultury polskiej.

Cytat ze Świtkowskiego wart był przypomnienia.

Ale i dobre informowanie zagranicy o dokonaniach polskich zasługuje na pochwałę. Tym bardziej, że brak licznych przykładów w tej właśnie dziedzinie (propaganda nie zawsze jest dobrą informacją). Z satysfakcją przypominamy wydaną przez *Oxford University Press* broszurę *dr. Z. Jordana* o osiągnięciach szkoły polskich logistów: *The Development of Mathematical Logic and of Logical Positivism in Poland between the Two Wars* (No. 6, April, 1945, w serii *Polish Science and Learning*, wydawanej przez Stowarzyszenie Polskich Profesorów w Wielkiej Brytanii).

Londyn, 20 czerwca 1947.

"CO SŁYCHAĆ"

Miesięcznik-magazyn

ukazuje się regularnie w pierwszych dniach każdego miesiąca przynosząc różnorodność i nowości, interesujące wszystkich.

32 strony — 9d.

Prenumerata roczna 9/-, półroczna 4/6

Adres Redakcji i Administracji: 40, Brutsfield Place, Edinburgh.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

Peter F. Drucker: BIG BUSINESS. London, 1947. Wilhelm Heinemann. Stron 302. Cena 10s. 6d.

Drucker jest pisarzem inteligentnym i interesującym. Ma poczucie aktualności i umiejętności oryginalnych i zastanawiających sformułowań. Współczesne zjawiska polityczne i gospodarcze potrafi przedstawić w świetle jasnym, nawet jaskrawym, potrafi je zanalizować wszechstronnie. Sądy przez niego wypowiedzane są na ogół trzeźwe, niedogmatyczne. Jest to umysł analityczny wysokiej klasy. Nie zdobywa się jednak na twórcze koncepcje i rozwiązania problemów, które omawia i roztrząsa z takim talentem.

Jego głośna książka "Koniec człowieka ekonomicznego" zyskała mu zasłużoną sławę. Późniejsze jego prace: "Człowiek przemysłowy" i książka, którą obecnie zamierzamy omówić, oznaczają już pewne jakby obniżenie lotu przy zwężeniu zresztą pola dociekań.

W "Big Business", która to książka, jak głosi podtytuł, jest studium nad zagadnieniami politycznymi kapitalizmu amerykańskiego, Drucker analizuje przede wszystkim działalność, funkcje i powiązania z tym społecznym wielkich przedsiębiorstw przemysłowych amerykańskich czyli, zgodnie z nomenklaturą amerykańską, t.zw. korporacji, jako reprezentacyjnej i charakterystycznej instytucji współczesnej społeczności industrialnej.

Autor wychodzi z założenia, że naród amerykański jest bardzo przywiązany do zasady i systemu wolnej przedsiębiorczości. Ale żeby w tej dziedzinie nie nastąpił zasadniczy zwrot, na to trzeba, by system ten naprawdę skutecznie działał, by między wierzeniami politycznymi a rzeczywistością społeczną nie było rozbratu. Tytuł pierwszego rozdziału książki brzmi: "Kapitalizm w jednym kraju" t.j. w Ameryce, jako pendant do stalinowskiego motto: "Socjalizm w jednym kraju". Jest w tym jakby postawa defensywna i nieco rezygnacyjna, choć należy przyznać, że autor zgoła świadomie ogranicza swe pole badań do stosunków amerykańskich.

Dosyć arbitralnie i bez dostatecznego uzasadnienia Drucker twierdzi, że pokój świata zależy od tego, czy Stany Zjednoczone i Rosja Sowiecka potrafią utrzymać w jak najsprawniejszym działaniu ustrój społeczny, którego obydwa państwa są protagonistami.

Zastrzegając się — trochę nieszczerze —, że książka jego nie ma być uważana za apologię wolnej przedsiębiorczości, autor podejmuje analizę funkcji, które ona dotąd spełnia i tych funkcji, które pozostają jeszcze niewykonane.

Każdy kraj współczesny, który chce utrzymać swą niepodległość i egzystencję niezależną, musi rozwijać swój przemysł przy użyciu najnowocześniejszej techniki i metod produkcji. Jest to zgoła niezależne od ustroju społecznego czy politycznego. W Rosji czy w Stanach Zjednoczonych, w Wlk. Brytanii czy we Francji — wielkie przedsiębiorstwa, zatrudniające tysiące pracowników, są charakterystycznym wyrazem współczesnej organizacji życia przemysłowego, są reprezentacyjną instytucją społeczną.

Autor w szczegółach opisuje ustrój i problemy jednego z amerykańskich kolosów przemysłowych — *General Motors Corporation*. Na marginesie tego opisu, którego nie mamy możliwości odtworzyć choćby w najogólniejszym zarysie, Drucker wypowiada szereg uwag o charakterze generalnym. I tak twierdzi on, że sprawa własności czy kontroli politycznej nie zatłwia zasadniczych zagadnień społeczności industrialnej, które mogą być rozwiązane tylko na płaszczyźnie "społecznej

organizacji nowoczesnej technologii", jak on to określa. I bardzo stanowczo stwierdza, że "absolutnie nic nie wskazuje na to, by ekonomia, stanowiąca własność państwa, lub pozostająca pod jego kontrolą, miała posiadać schemat porządku społecznego, który by obiecywał śpieszniejsze i lepsze rozwiązanie tych podstawowych problemów współczesnej społeczności industrialnej" (str. 206).

Z zagadnień polityki ekonomicznej sprawa monopolów, zysku przedsiębiorcy, zagadnienie rynku plac robotniczych, zagadnienie zabezpieczenia zatrudnienia i wiele innych stanowią przedmiot wnikliwych rozważań autora.

Szczególnie znaczenie przypisuje on sprawie zabezpieczenia możliwie pełnego zatrudnienia pracowników czyli sprawie zwalczania bezrobocia. Jest to ujęcie znacznie bardziej realistyczne niż wielu innych obrońców zasady wolnej gospodarki np. Hayeka. Drucker stwierdza bez ogródek: "Jeśli nie będziemy mieli praktycznej polityki umożliwiającej opanowanie poważnego, długoterminowego bezrobocia, rząd przejmie kontrolę nad inwestycjami kapitałowymi kraju w ciągu następnej większej depresji. Zostaniemy wepchnięci w ekonomię kolektywistyczną" (str. 287/8). Bo państwo nie może obojętnie przyglądać się, jak długotrwałe bezrobocie podgryza same podstawy życia społecznego.

Ostatnia książka Druckera nie jest rewelacyjna. Jest głosem rozsądku gospodarczego i przestrogą pod adresem kierowniczych kół przemysłu amerykańskiego, by ustrój i funkcjonowanie kapitalizmu poddawali czujnej kontroli pod kątem widzenia sprawności działania i uwzględniania potrzeb społecznych robotników.

(m.ost.)

Emery Reeves: THE ANATOMY OF PEACE. London, 1946. George Allen and Unwin. Stron VIII i 252. Cena 7s. 6d.

Mało publikacji, jakie się ostatnio ukazały, wzbudziło tak powszechne zainteresowanie i tak żywą dyskusję, jak książka Emery Reeves *The Anatomy of Peace*. Do jej światowego rozgłosu nie najmniej przyczynił się fakt, że dostała się ona do rąk czytelnika amerykańskiego nazajutrz po wybuchu bomby atomowej nad Hiroszimą.

W takiej chwili, kiedy katastrofa atomowa o wymiarach niemal kosmicznych oznajmiła finał Drugiej Wojny Światowej, a równocześnie otworzyła nową erę, w której zagadkowe oblicze niewielu tylko odważa się spojrzeć bez uczucia lęku przed grozą unicestwienia, — książka Reevesa, jak zbudować trwały pokój i uniknąć wojny, stała się dla szerokiego kół czymś w rodzaju Dobrej Nowiny, przynoszącej upragnione Słowo nadziei. I taka jest ambitna intencja autora.

Tok rozumowania Reevesa jest bardzo prosty: największym nieszczęściem naszej epoki są coraz straszliwsze wojny. Wojna nie jest chorobą samą w sobie, lecz zewnętrzną reakcją na chorobę organizmu społeczeństwa. Współczesny świat cierpi skutkiem głębokiej dysharmonii między anachroniczną strukturą polityczną naszej planety a tendencjami gospodarczo-technicznymi. Pomimo niesłychanego postępu technicznego XIX i XX wieku i nieznanego w dziejach rozwoju gospodarki światowej układ polityczny świata, współczesne pojęcia prawnopolityczne, zakrzępy tak, jak się uformowały w XVIII stuleciu. Podczas gdy zmieniały warunki zewnętrzne: techniczne, komunikacyjne, militarne i gospodarcze każą ujmować świat jako jedną całość, politycy i szerokie masy wyznają wciąż te same mocno przestarzałe idee suwe-

renności państw narodowych. Industrializm pcha społeczeństwa przemysłowe w kierunku państwa światowego, społeczeństwa te jednak nie rozumiejąc dokonywających się procesów z nawiąku i rutyny upierają się przy *status quo*, t.j. przy systemie wielu niezależnych państw-narodów.

Stąd wytwarza się konflikt niemożliwy do usunięcia tak długo, jak długo współczesne narody-państwa (*nation-state*) nie zgodzą się przenieść części swych atrybutów władzy suwerennej na rzecz szerszej, ponadnarodowej społeczności, mającej jeden rząd centralny, oparty o jednolity ponadpaństwowy porządek prawny.

Kto chce uniknąć wojny, powinien usunąć jej przyczyny. A przyczyna wojny, pomimo pozornej wielości motywów, w imię których się wojny wypowiada i prowadzi, jest zawsze ta sama: anarchia spowodowana istnieniem wielu państw, roszcujących sobie równe prawa do nieograniczonej suwerenności i niepodlegających żadnym wiążącym normom ponadpaństwowym. Państwo suwerenne — oto nowoczesna Bastylia, symbol współczesnej niewoli i ujarzmienia człowieka. Najpierw trzeba zburzyć państwo, bo droga do pokoju prowadzi przez gruz państw suwerennych. Zarówno w przeszłości, jak i obecnie dochodziło do wojny zawsze, ilekroć niezależne formacje polityczne stykały się z sobą. Taka jest mechanika praw społecznych i nikt jej zmienić nie potrafi. Dawniej płaszczyzny tarć między suwerennymi państwami były mniejsze, komunikacja utrudniona, powiązania gospodarcze bardziej luźne i słabsze, a narzędzia wojny nieporównanie mniej kosztowne i niszczące. Dziś wojna zagraża zniszczeniem całej cywilizacji ludzkiej. Współczesne państwa przemysłowe mają do wyboru dwie drogi. Albo pójść z duchem czasu i dobrowolnie wbudować się jako członki demokratycznej federacji światowej narodów, zachowując przy tym autonomię kulturalną, religijną i społeczną, albo zainaugurować u siebie faszyzm, który za cenę brutalnego ograniczenia wolności indywidualnej i obniżenia standardu życia da im przejściowo iluzję pełnej suwerenności narodowej, aby następnie uwikławszy je w wojnę doprowadzić do zupełnej utraty niepodległości.

Kryzys XX stulecia polega na tym, że świat doszedł od takiego stanu rozwoju, iż glob nasz tak czy owak musi być poddany jednej kontroli.

Rzecz tylko w tym, czy ta kontrola będzie ustanowiona zawczasu z powszechnej zgody drogą pokojową, czy też narzuci ją światu jedno zwycięskie mocarstwo. Zjednoczenie świata *manu militari*, acz wykonalne, jest kosztowne i krwawe. Trzeba więc budować federację świata sposobami pokojowymi. Ponieważ czas nagli, trzeba ją zacząć budować natychmiast bez zwłoki, mobilizując dla niej masy i wywierając presję na rządy, żeby nie traciły czasu na bezowocne konferencje, z których nic nie wychodzi.

Zwolennicy światowego rządu nie powinni uważać różnic rasowych, religijnych i narodowych oraz przeciwieństw systemów gospodarczych za istotne przeszkody na drodze do federacji światowej.

Co prawda — zaznacza Reeves — zniesienie formacji państwowych zatłwia tylko problem wojny między państwowej, ale nie usuwa wojny w ogóle. Może dojść do wojny domowej. Ta jednak jest mniejszym złem, bo toczyć się będzie o wartości idealne, a nie o zdobycze materialne.

"Anatomia Pokoju," napisana z pasją i swadą dialektyczną, obfituje w zwężle sformułowania i mocne, przemawiające do wyobraźni rzuty syntetyczne. Słowem może się podobać.

Ale . . . ale grzeszy jedną wadą wspólną wszystkim tego rodzaju modnym publikacjom: jest zbyt dowolnym uproszczeniem złożonej rzeczywistości, by uznać ją za rzecz dojrzałą i wszechstronnie przemyślaną.

Uważnego czytelnika uderzają pośpieszne uogólnienia historyozoficzne, zdradzające, że autor nie wyzwolił się z zarzuconej już przez nauki społeczne metody mechanistycznego tłumaczenia procesów historycznych. Taka np. teza, że warunki zewnętrzne, technika komunikacyjna, wymiana gospodarcza prowadzą z nieubłaganą konsekwencją do zcentralizowanego państwa światowego, które usunie wszystkie antynomie gospodarcze, jest tyle samo uzasadniona, co głośne nigdyś dogmaty "naukowego socjalizmu" o spżowym prawie płacy, postępującym zubożeniu klasy robotniczej i koncentracji kapitału. Dziś wiadomo, jakie dementi przyniosło życie tym naukowym "prawdom". Niezawodnie, postęp uprzemysłowienia pomnaża więcej zależności gospodarczej pomiędzy krajami i domaga się rozwiązania wielu zagadnień w skali światowej. Z drugiej wszakże strony zachodzi inny proces: powstawania nowych ośrodków przemysłowych w krajach dotychczas nieuprzemysłowionych, co powoduje tendencję w kierunku przeciwnym: zamykania się w ramach odrębnych obszarów gospodarczych.

To samo zastrzeżenie odnosi się do innych równie kategoriicznych formuł, którym autor nadaje kwalifikację niemal żelaznych praw, nie uznających odchyłań. Twierdzi mianowicie, że najgłębszy konflikt naszych czasów polega na antynomii: industrializm-nacjonalizm. Ma on niechybnie prowadzić albo do wojny, albo do faszystowskiego totalizmu, czyli w końcu także do wojny.

Blizsza analiza niedawnej przeszłości wcale nie popiera tego twierdzenia. Widoczne jest, że świat współczesny dzieli znacznie głębsza przepaść natury moralnej i kulturalnej (zasadnicza różnica w poglądach na rolę człowieka, cel jego życia, stosunek jednostki do zbiorowości i wzajemne stosunki pomiędzy społeczeństwami), niż konflikty o podłożu ekonomicznym. Hitlera do wojny z Polską i Anglią pchnęły nie konieczności ekonomiczne, lecz przesłanki irracjonalne: wola narzucenia światu germańskiego *Herrenschaftu* i bunt przeciw chrześcijańskiej kulturze Europy.

Za pierwszy chronologicznie system faszystowski wedle zrozumienia Reevesa uznać wypada rząd sowiecki, który nie ustalił się na gruzach kapitalizmu, bo go w Rosji nie było, jeno na ruinach autokratycznego caratu. W Europie Zachodniej ustrój kapitalistyczny w W. Brytanii, Francji, Belgii pomimo wojny nie zdradza dotychczas objawów przeradzania się w faszyzm.

Ruchy faszystowskie znalazły podatny grunt w społeczeństwach, które trudno zaliczać do *par excellence* kapitalistycznych: Włochy, Hiszpania.

Państwo światowe — jak podkreśla *Times* — wcale nie gwarantuje samo przez się wolności i sprawiedliwości. Jak długo w łonie federacji panuje zgodność interesów i poglądów, wszystko idzie jak najlepiej, ale kiedy zgody brak (co się snadnie zdarzyć może) rząd światowy będzie potrzebował potężnej siły militarnej, żeby narzucić swą wolę. Otóż łatwo przyjąć może do tego, że państwa posiadające większą siłę chciały się posłużyć tą siłą dla narzucenia swej hegemonii nad mniejszością.

Wreszcie ostatnia poważna wątpliwość: czy federacja istotnie wykluczy wojny? Prawdopodobnie nie. Ustaną wojny między państwowe, bo nie będzie państw, natomiast powstanie niebezpieczeństwo wojen domowych, zwykle krwawszych i bardziej okrutnych niż wojny zewnętrzne. Budować zatem państwo światowe tylko po to, żeby wojny zewnętrzne

PIOTR PANISZ

NIEMIECKI MANIFEST KATOLICKI

NIEMIECKA młodzież katolicka ogłosiła deklarację skierowaną do młodzieży katolickiej świata, którą *The Catholic Times* zaopatruje określeniami: *a confession, an act of contrition, a plea for mercy, a purpose of amendment*.

U wstępu do deklaracji widnieje przyznanie, iż katolicy stanowiący część narodu niemieckiego poczuwają się w pełni do współwiny, jaką obciążył go narodowy socjalizm, i że gotowi są przyjąć konsekwencje tego i odpokutować zło wyrządzone.

Zaraz po tym wyznaniu, bez podania jak wyobrażają sobie autorzy tę ekspiację, następuje lament i wyrzut: "Czyż dlatego młodzież niemiecka ma być oddana beznadziejnej nędzy?" . . . i apel do sumienia świata: "Wierzymy, że wasze chrześcijańskie sumienie ani tego nie pragnie, ani nie zamierza" . . .

I teraz mamy wykład o milionach Niemców wysiedlanych przemocą ze wschodnich Niemiec, opuszczonych w rozpaczliwej nędzy. Po tym użaleniu się słusznie następuje oświadczenie: "Jesteśmy zmuszeni powiedzieć wam, że jest zupełnym niepodobieństwem rozwiązanie problemu społecznego lub ulżenie krańcowej nędzy w Niemczech bez sprawiedliwego i miłosiernego pokoju, który by zwrócił nam nasz niemiecki (sic) kraj na wschodzie". Wobec czego apel do orędownictwa do katolików świata w tej sprawie zakończono obietnicą: "Jedno jest pewne. My, młodzi chrześcijanie nigdy więcej (?) nie poddamy się konstytucji, zbudowanej na gwałcie i kłamstwie".

Bardzo pięknie. Ale dlaczego to jest pewne? Czy ze strony katolickiej nie było takich oświadczeń po Pierwszej Wojnie Światowej? — Niewiadomo też, czy celem nadania większego znaczenia swej deklaracji młodzież katolicka przeszła na przemawianie w imieniu

zamienić na rewolucje wewnętrzne, nie jest warte tych ogromnych wysiłków, jakich powstanie takiego państwa będzie wymagać.

Unifikacja świata, to nie tylko, jak się zdaje sądzić Reeves, zagadnienie techniczne, lub prawne, lecz przede wszystkim zagadnienie cywilizacyjno-moralne. Gdzie nie ma jednności co do podstawowych pojęć i poglądów moralno-prawnych, tam trudno się spodziewać zgody w kwestiach politycznych. Przeciwnieństwo Sowietów — Zachód sięga znacznie głębiej niż różnica systemów gospodarczych. W tym wypadku mamy do czynienia z całkowicie przeciwstawnymi sobie filozofiami społecznymi, stylami kultury i metodami rządzenia. Dopóki konflikt Sowietów z resztą świata nie zostanie tak czy inaczej rozwiązany, organizacja rządu światowego nie ma widoków powodzenia.

Świat współczesny jest zanadto skłócony i rozdarty przede wszystkim moralnie, aby go stać było na jednolity i silny porządek prawno-polityczny.

Reeves pomija w swych rozważaniach momenty historyczne i kulturalne, sądząc zapewne, że w ten sposób będzie bliższy realizmowi. Nie usiłuje wejrzeć głębiej w procesy psychiczne, nurtujące w duszach ludzi żywych, którzy przecież w ostatniej instancji są twórcami historii.

Ten jego realizm ma wszystkie cechy zeszlowiecznych papierowych utopii. Dlatego można wątpić, czy idee jego staną się żywymi ziarnami przyszłości.

I.C.

całej młodzieży "chrześcijańskiej", czy też na to, aby poszerzyć znaczenie adresu?

Wierzmy w dobrą wolę tego zapewnienia, wiemy jednak z doświadczenia, że zarówno przyznanie się do zbrodni, jak dobra wola, połączona z zapewnieniem iż więcej grzeszyć się nie będzie, — nie może wystarczyć poszkodowanemu dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa. Nie leży ono w chwilowej dobrej woli, tylko w psychologicznej możliwości penitenta. — Nie można na niej opierać zwłaszcza rachunków politycznych, co tym bardziej powinny by autorzy rozumieć, że sami wysuwają przede wszystkim postulaty polityczne.

Ale i dobrej woli stawia się pewne wymagania: dążności do poznania prawdy i do głoszenia prawdy. Na cóż zda się apelowanie do ludzkości i sprawiedliwości, jeśli się jej wyobrażenie opiera na fałszywych i jednostronnych przesłankach? Czymże innym jest wyzywanie do zadośćuczynienia sprawiedliwości przez pozostawienie ziem narodowi, z którym człowiek w dobrym i złym wyraża swą solidarność, co tym samym jest solidaryzowaniem się ze zbrodnią i nie świadczy ani o pokorze, ani o woli zadośćuczynienia.

Gdyby nie szło nawet o sprawiedliwość historyczną, wcale zresztą świeżego i nieprzerwanego procesu, ale o sprawiedliwość faktów dokonanych w dniu dzisiejszym, to na wadze jej leżeć musi: 1) proporcja krzywdy narodów i 2) pierwszeństwo ataku. — Jak wyszła Polska z wojny, a jak z niej wyszły Niemcy? — A teraz: z czyjej winy wybuchła i zatem z czyjej winy taki los przypadł Polsce i z czyjej Niemcom?

Tutaj już nie chodzi o ekspiację. Czyżby istnienie bowiem całych Niemiec mogło w ogóle zadośćuczynić krzywdom nie jednego narodu polskiego, doświadczonego najbardziej, ale całego świata, a co jeszcze więcej: całej cywilizacji? Nie. Tu chodzi o sprawiedliwy podział na ziemi i o bezpieczeństwo jego ustalenia na zawsze, do czego nie prowadzi ani bezkarność, ani pozostawianie możliwości odrostu siły w rękach, które wykazują stałe skłonności ich nadużycia poza granice kryminalne. Perspektywy polityczne, jakie zgodnym chórem z całymi Niemcami podaje rozdzielająca szaty katolicka młodzież, wcale nie trafiają nam do przekonania. Ta młodzież, o ile je wysuwa w dobrej wierze, powinna przejść nowe przeszkolenie i zwracać przede wszystkim z tokiem myślenia infiltrowanym jej przez metody pruskie. Niemcy muszą być obcięte, aby im się odechciało nieograniczonego *Lebensraumu* na obie półkule, i muszą biedować, muszą nauczyć się ograniczać i zejść do roli narodu drugorzędnego, zwróciwszy to, co w ciągu wieków gwałtem zabrali. Nie tylko każdy hitlerowiec, ale każdy katolik zrozumieć musi, że taki jest historyczny skutek ich historycznych rozbojów. — Jeśli nie pojmą odpowiedzialności za przeszłość, za dotychczasowość, to nic nie warte będzie ich branie odpowiedzialności za przyszłość. Przecie *Drang nach Osten* był szkołą ich wychowania, które urobiło ich psychikę w ciągu piętnastu wieków, i zupełnie nieracjalnym byłoby kalkulowanie, iż nauka obliczona na doraźne przesłanki wystarczy na zmianę mentalności nawet jednego ich pokolenia.

Tak samo nieprzekonywujące są ich wnioski ekonomiczne, oparte na fałszywych danych, których tu rozierać nie będziemy, ale sumienne studium statystyki i dziejów każdemu dostarczy niezbitych faktów przeciwnych,

Ś.P. KAROL STOJANOWSKI

tak, jak mogło ich dostarczyć ze samych źródeł niemieckich p. Arturowi Brady (*Forward* z 24 maja.) Autorów katolickiego manifestu nie chcemy pomawiać o liczenie na wieczną głupotę i łatwowierność Zachodu, ale należy liczyć się w takim razie z faktem ich własnego ulegania sugestii fałszów i wygodnego unikania badania prawdy.

Manifest ten raz jeszcze wykazuje smutny fakt, że świat katolicki w Niemczech nie ma ani siły charakteru, czego z czasu wojny posiadamy setki dokumentów, świadczących jak mała ilość katolików nie dała się porwać propagandzie nienawiści, ani miłości prawdy, ani odwagi cywilnej, ani uczuć prawdziwej pokory i chęci zadośćuczynienia. — Nie wiadomo nawet, czy ci ludzie zdają sobie z tego sprawę.

Bo właściwie cały tekst deklaracji nie daje nawet czasu na dalej idące rozważania. To, co uderzy człowieka nieuprzedzonego, politycznie nawet niezainteresowanego, prawdy przesłanek świadomego, streszcza się w pierwszych wrażeniach po jej przeczytaniu:

1) Katolik, rozumiejący pełnię swoich win, *gotów* jest ponieść karę za nie i następstwa, tym bardziej oczywiście, jeśli ta kara byłaby wyrównaniem szeregu zbrodni narodu, z którym się głosi solidarnie odpowiedzialnym.

2) Elaborat po tym gołosłownym oświadczeniu i ostentacyjnym biciu się w piersi przechodzi do wysuwania pretensji usunięcia pierwszej konsekwencji czynu, którą winien zapłacić. To jest jedynym wyraźnym i realnie określonym jego dezysydem. Mając wiele czasu na protest czynny przeciw zbrodniom, a jeśli by nawet nie mieli z braku sił i znaczenia to tym bardziej — pierwszy głos podnoszą w imię rewindykacji. Uderza w tym co najmniej brak poczucia psychologii innych ludzi niż Niemcy, ludzi mających jeśli nie więcej, to co najmniej poczucie taktu.

3) Mało tego: w całej swej treści elaborat nosi takie cechy, którymi w procedurze karno-prawnej zwyczajnych ludzi niewątpliwie zainteresowałby się prokurator. Niewykonywanie bowiem ich żądań pociągnie za sobą wedle nich "rozpacz, radykalizm, chaos", co "nie dopomoże Europie". W tym świetle także daje do myślenia i mógłby wyglądać dwuznacznie zwrot, że "my, młodzi chrześcijanie" (sic) "nigdy nie poddamy się konstytucji zbudowanej na przemocy". Nie wiadomo dobrze z tego wszystkiego, z kim różnią się autorzy w poglądzie na "przemoc".

Gotowi zatem są katolicy niemieccy "przyjąć konsekwencje" i odplacić zło, ale zamiast zapewniać o tym świat powinni zdobyć się na odwagę cywilną i powiedzieć to własnemu narodowi. Wytłumaczyć mu, że sprawiedliwości musi się stać zadość i że musi on to przyjąć w pokorze i z rezygnacją. — Wtedy naprawdę uczyniliby krok do ulępszenia Niemców i krok do utrwalenia pokoju. Do tego powinni się ograniczyć, a nie dawać nauki moralne zwycięzcom. W ten sposób bowiem podkopują sami zaufanie do siebie, wywołując wrażenie, że nie są niczym więcej jak . . . *instrumentum status*.

PIOTR PANISZ

Ukazało się w druku trzecie wydanie dzieła
ROMANA DMOWSKIEGO
POLITYKA POLSKA
I ODBUDOWANIE PAŃSTWA

w dwóch tomach; stron 258 i 168.

Do nabycia w księgarniach polskich oraz w administracji "Myśli Polskiej."

Doszła nas z Kraju żałobna wieść o nagłej śmierci — w dniu 9 czerwca b.r. — profesora antropologii na uniwersytecie wrocławskim, ś.p. Karola Stojanowskiego.

Ś.p. Karol Stojanowski był synem polskiego ludu zagarniętej dziś przez Sowiety Ziemi Tarnopolskiej. Urodził się we wsi Kobyłowluki w pow. czortkowskim, jako syn chłopca małorolnego. W zylach jego, obok krwi polskiej i ruskiej, od wieków ze sobą na Podolu zmieszanej, płynęła niewątpliwie także i przymieszka krwi tatarskiej, której w tamtych stronach wiele w lud polski i ruski wsiąknęło. Wskazywały na to jego rysy twarzy, na co on sam, jako antropolog, przede wszystkim wskazywał. Chociaż chłop z pochodzenia i chociaż fanatycznie przywiązany do swoich stron rodzinnych i do swojej wsi, był on zupełnie obcy chłopskim tendencjom stanowego separatyzmu. Był każdym fibrem duszy wyznawcą idei narodowej, której podstawą jest jedność narodu w jego wszystkich warstwach oraz przyjęcie przez warstwy historycznie młodsze politycznej i kulturalnej spuścizny Polski historycznej. Był on również wyznawcą idei przejęcia się przez warstwę chłopską duchem ogólnopolskiego tradycjonalizmu i wniesienia przez nią w życie ogólnopolskie swych wartości i tradycji własnych. W myśl tych dążeń i pojęć, założył, na kilka lat przed obecną wojną, stowarzyszenie pod nazwą Związek Rodowy Rodziny Stojanowskich ze wsi Kobyłowluki, grupujące zarówno inteligentów z tej rodziny siedzących po miastach, jak chłopów, którzy w Kobyłowlokach pozostali. Stowarzyszenie to miało na celu kultywowanie węzłów rodzinnych i tradycji rodzinnej, oraz podtrzymywanie gniazda rodzinnego, jakim były Kobyłowluki.

Ś.p. Karol Stojanowski ukończył studia uniwersyteckie we Lwowie, gdzie był uczniem najznakomitszego polskiego antropologa, prof. Jana Czekanowskiego. Przed rokiem 1914 był członkiem organizacji młodzieży akademickiej kierunku narodowego. W czasie wojny uległ jednak chwilowo urokowi ruchu legionowego i wstąpił do I Brygady Legionów, w której szeregach czas dłuższy walczył. Po jej rozwiązaniu był komendantem P.O.W. w jednym z zakątków Królestwa Kongresowego. Pod koniec jednak wojny przechylił się z powrotem poglądami ku Obozowi Narodowemu, którego zasadniczych rysów światopoglądowych nie wyrzekł się nigdy. Koniec wojny zastał go w rodzinnych Kobyłowlokach. W czasie działań wojennych między Polską i zorganizowanym pod skrzydłami opiekuńczymi walących się Niemiec i Austrii rządem separatystów zachodnio-ukraińskich w pierwszej połowie 1919 roku był przez Ukraińców więziony, próbował również — z wcale niezłym skutkiem — organizować na tyłach frontu ukraińskiego, w rodzinnej Tarnopolszczyźnie polski ruch dywersyjny. Podczas wojny polsko-sowieckiej w latach 1919-1920 walczył w szeregach wojska polskiego, dosłużywszy się stopnia sierżanta.

Po wojnie ś.p. Karol Stojanowski odegrał wybitną rolę w życiu polskiego harcerstwa, którego był jednym z głównych przywódców, organizatorów i ideologów. Był przedstawicielem kierunku narodowego i katolickiego w harcerstwie. Uczestniczył w kierowaniu Chorągwią Lwowska. Był przez czas dłuższy Komendantem Chorągwi Poznańskiej i za-

życielem akademickiej drużyny starszoharcerskiej w Poznaniu. Przez czas długi był redaktorem i wydawcą miesięcznika *Strażnica Harcerska* w Poznaniu, reprezentującego ideologię narodową i katolicką.

W latach międzywojennych ś.p. Stojanowski był wybitnym działaczem Stronnictwa Narodowego. Był członkiem Komitetu Głównego S.N. i członkiem Zarządu Okręgowego S.N. w Poznaniu. Często pisywał do *Kuriera Poznańskiego*, *Myśli Narodowej* i innych dzienników i czasopism narodowych. W czasie wojny 1939-1945 był jednym z najwybitniejszych uczestników i kierowników podziemnej akcji politycznej, a zwłaszcza narodowego ruchu wojskowego.

Ś.p. Karol Stojanowski przez czas pewien był nauczycielem gimnazjalnym — m.i. w swym powiatowym Czortkowie, — większą część jednak lat międzywojennych spędził na stanowisku docenta antropologii Uniwersytetu Poznańskiego. Był nie tylko wybitnym uczonym antropologiem, ale i znawcą i druzgoczącym krytykiem pseudonaukowych teorii rasistowskich niemieckich. Prócz szeregu rozpraw i artykułów ściśle naukowych wydał m.i. głośną przed wojną polemiczną książkę *Rasizm przeciw Słowiańszczyźnie*.

Po wojnie objął katedrę antropologii na uniwersytecie we Wrocławiu. Śmierć przecięła jego żywot w trakcie pracy nad wielkim dziełem o niemieckim rasizmie.

Osiroczył żonę Wandę z Ćwiklińskich, która była mu wierną towarzyszką życia, zarówno w okresie przedwojennym, gdy borykał się z wielu trudnościami i troskami, będąc przedmiotem szukan ze strony obozu sanacji, jak w okresie konspiracji, w czasie wojny, gdy musiał się przez cały czas kryć przed Niemcami, mającymi z nim porachunki z tytułu jego działalności naukowej i pisarskiej.

j.g.

Treść Nr. 112 (Rok VII, Nr. 7) "Myśli Polskiej":

ZADANIA NOWEGO OKRESU; Ś.P. WŁADYSŁAW RACZKIEWICZ; PROBLEM DE GAULLE'A WE FRANCJI — Jan Matyasik; ANALIZA ZDRADY — Wiktor Trościanko; REPUBLIKA I KRYZYSY — Andrzej Zapolski; JESZCZE O JAGIELLONACH — Jędrzej Giertych; STACYJNE: DZIŚ WZGLĘDNE — Jerzy Pietrkiewicz; UWAGI: Nad mogiłą w Newark, Plan Marshalla, Wojna ideologiczna, "Weekly Review", 15 milionów książek zniszczonych, Pod rządami Bieruta i towarzyszy, W obliczu zniszczeń, Sprawa Zborowskiego, Ze zjazdu kombatanów; KULTURA I ŻYCIE — J.P.; PRZEGLĄD WYDAWNICTW; NIEMIECKI MANIFEST KATOLICKI — Piotr Panisz; Ś.P. KAROL STOJANOWSKI — j.g.

"MYŚL POLSKA"

założona w 1941 r. w Londynie,
ukazuje się raz w miesiącu.

Redakcja i Administracja:
8 Alma Terrace, Allen Street,
London, W.8. Tel. WESTern 1797.

Prenumerata półrocznie (6 numerów)
12s. lub \$4.
Prenumerata rocznie (12 numerów) —
£1. 4s. 0d. lub \$8.